ROK VII. LISTOPAD — 1907 ROK. TOM VI (LXXII).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA,

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja, w Warszawie: Ulica Krucza № 40 mieszk. 17.

1907.

Druk J. Sikorskiego, Warszawa, Warecka 14.

Treść tomu listopadowego 1907 roku,

ogólnego zbioru LXXII.

ILLUSTRACYE:



„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI"

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

(12 dużych tomów rocznie).

Pod redakcyą księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.

Czasy, które przeżywamy, czasy łez, krwi, a przytem obietnic lepszej dla Ojczyzny przyszłości, nigdy może nie potrzebowały większej niż obecnie pomocy Bożej, ratunku z nieba, pomocy stamtąd, skąd szczęśliwość wiekuista spływa w dusze i serca ludzkie. Szukajmyż jej tam...

My, Polacy, szczęśliwsi jesteśmy, niż inne ludy katolickie, bo posiadamy skarb nad skarby — cudowne miejsce — tron ziemski Pani świata—Matki Zbawiciela — Orędowniczki i Pocieszycielki strapionych—Królowej Korony Polskiej—a miejscem tem umiłowanem, klasztor na Jasnej-Górze w Częstochowie.

U stóp tego tronu ziemskiego, źródła łask i szczęśliwości ludzkiej, dzwoni od lat sześciu „Dzwonek Częstochowski", jako skowronek nucąc pieśń na chwałę Przenajświętszej. Słuchajmyż głosu jego...

A cud to niemal, że głos jego nie umilkł, choć burze szaleją, biją gromy, złe moce się rozpętały — cud niemal i łaska Boska widoczna, której niegodni doświadczamy.

Bo ileż to razy grom po gromie huczy, uderza, ale piosenka na chwałę Maryi nie milknie, głos „Dzwonka Częstochowskiego", choć przygłuszony na chwilę, znowu dźwięczy i znowu raduje serca wiernych czcicieli Maryi.

A nigdy może wśród sześcioletniego istnienia pisma, głos jego nie był tak wielce pożądany wśród chat i dworków, na poddaszach i w pałacach, jako niosący tam słowa miłości Boga i bliźniego, słowa pociechy i ukojenia. Nigdy, jak dzisiaj...

Stańcie więc przy tym słudze Bogarodzicy wszyscy jej czciciele, otoczcie staraniem, nie dajcie upaść pismu, poświęconemu na chwałę waszej największej Opiekunki, Jedynej Ucieczki w szczęściu i nieszczęściu, jednajcie przyjaciół, rozpowszechniajcie „Dzwonek Częstochowski", a te czyny wasze Bóg na dobro wasze policzy, bo im więcej będzie czytelników „Dzwonka Częstochowskiego" — tem większą chwałą rozbrzmiewać będzie Matka Boska Częstochowska, Królowa Korony Polskiej.

Prawdziwego przyjaciela poznaje się w nieszczęściu — mówi przysłowie — i my, dzięki Najświętszej Pannie Częstochowskiej, przekonaliśmy się, że „Dzwonek Częstochowski“ ma licznych, a serdecznych przyjaciół, którzy w dniach smutnej próby krzepili nas, pocieszali i nie odstąpili. Tym przyjaciołom naszym ślemy serdeczne staropolskie „Bóg zapłać“!

U stóp ołtarza Cudownej Matki Boskiej Częstochowskiej, na ich intencyą ofiarujemy modły, prosząc pokornie o łaski Boże dla nich, ich rodzin, aby Matka Najświętsza błogosławiła ich pracy tak na drodze życia doczesnego jak wiecznego.

* * *

Jedynem naszem pragnieniem jest ulepszać i udoskonalać „Dzwonek Częstochowski”--co nam obecnie wielce ułatwia rozszerzenie koncesyi.

Oprócz prac treści religijno-historycznej podawać będziemy i rzeczy treści naukowej i społecznej, jako to: ze świata, przyrody, przemysłu, hygieny i t. p.

Premium „Dzwonka Częstochowskiego“ na rok 1907 stanowić będzie piękny kolorowy obraz **Matki Boskiej Kodeńskiej,** który w dniach prób ciężkich znalazł schronienie w murach Jasnogórskiej Świątyni. Będzie ten cudowny wizerunek błogosławieństwem dla każdego domu katolickiego, dla każdego szczerze wierzącego Polaka.

Druk zajmujących powieści historycznych: **„Nawrócony”, „Żona Cezara“** i **„Historya wojen krzyżowych“** z illustracyami G. Dorego w dalszym ciągu na kartach „Dzwonka Częstochowskiego“ prowadzić będziemy.

Nad to prowadzić będziemy wszystkie prace dotychczas drukowane w „Dzwonku Częstochowskim“, a mianowicie:

1) Artykuły treści teologicznej. 2) Powieści religijne. 3) Modlitwy prozą i wierszem. 4) Żywoty Świętych Pańskich, Ojców Kościoła, wielkich Papieży. 5) Obrazy z historyi Kościoła Rzymsko-Katolickiego. 6) Wiadomości różne tak z dziedziny życia społecznego, politycznego jak naukowego, z obszernem uwzględnieniem spraw kościelno-religijnych i tyczących się Częstochowy. 7) Ogłoszenia. 8) Illustracye.

W roku 1907 „Dzwonek Częstochowski“ drukować będzie zajmujące opowieści, ozdobione illustracyami:

Polacy Katolicy na obczyźnie.

Będą to wzruszające opisy prac i cierpień kolonistów polskich tak w bliższych nam krainach, jako też i zamorskich.

W dalszym ciągu drukować będziemy cenne prace:

1) Żywot illustrowany Pana naszego Jezusa Chrystusa.

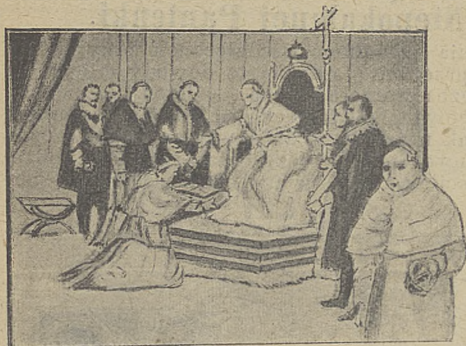
2) Historyę illustrowaną Kościoła Rzymsko-Katolickiego w obrazach i życiorysach.

3) Historyę illustrowaną klasztoru Jasnogórskiego.

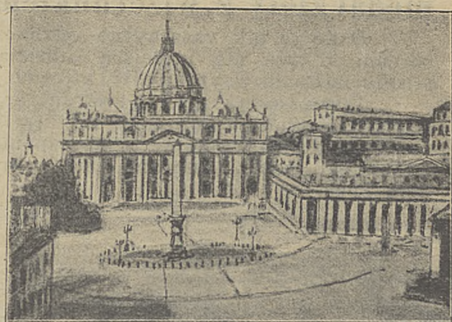
4) Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.

Oprócz tego przygotowaliśmy nowe zajmujące prace, jako to: „Pamiętniki kapłana wygnańca“, „Krzyż wśród lodów północy“, „Wyznania nawróconej” i t. d.

Wszystko co dobre i zacne, a głównie co polskie i katolickie, znajdzie na kartach „Dzwonka Częstochowskiego” uznanie serdeczne.



Ojciec Święty Leon XIII błogosławi wydawnictwo „Dzwonka Częstochowskiego“.



Kościół Świętego Piotra w Rzymie.

Błogosławieństwa „Dzwonkowi Częstochowskiemu“ udzielił i obecnie zasiadający na stolicy Piotrowej Ojciec Święty Pius X.

Nie możemy się też powstrzymać, aby nie przytoczyć tutaj wielce łaskawego dla nas listu Jego Ekscelencyi księdza Stanisława Zdzitowieckiego, biskupa Kujawsko-Kaliskiego, z którego dyecezyi „Dzwonek Częstochowski” w świat wychodzi.



Jego Ekscelencja Ksiądz Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki biskup Kujawsko-Kaliski.

Szanowny Księże Redaktorze!

Każdemu wiadomo, jak wielką jest potrzeba pism peryodycznych, któreby dawała duchową i społeczną strawę. Zasady bowiem i poglądy w pismach zawarte powoli wsiąkają w umysły i urabiają serca czytelników. To też uznanie Ci się należy, Szanowny Księże Redaktorze, za zbożną Twą pracę w „Dzwonku Częstochowskim“, za rozsiewanie zdrowego ziarna na roli rodzin chrześcijańskich, dla których za wzór i obronę podajesz Najświętszą Bogarodzicę Maryę. Że praca Twa była potrzebna, świadczy poczytność „Dzwonka Częstochowskiego”.

Kształć więc umysły i urabiaj serca ufny w łaskę Bożą, opiekę Maryi i pomoc współpracowników, których wyszukiwać z pewnością nie potrzebujesz.

Zapewniając o swej dla „Dzwonka Częstochowskiego” życzliwości, zasyłam pasterskie błogosławieństwo Tobie, Szanowny Księże Redaktorze, Współpracownikom i Czytelnikom.

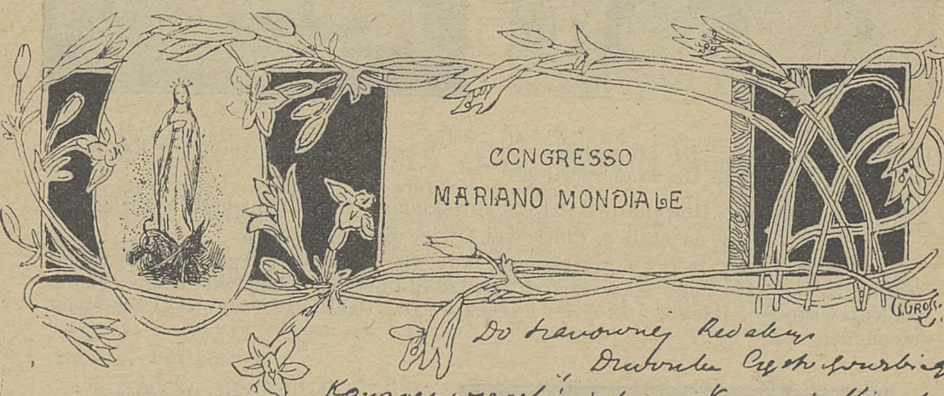
(podpisano) Ks. Stanisław Zdzitowiecki
Biskup Kujawsko-Kaliski

Włocławek, d. 2 Lutego 1903 r.

Kongres ku czci Maryi, Matki Zbawiciela Świata, odbyty we Fryburgu, gdzie zgromadzili się dostojnicy Kościoła z całego świata katolickiego, przyznał redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“ wysokie odznaczenie, t. j. medal złoty z wizerunkiem Niepokalanej Panienki.

O ile te tak zaszczytne odznaczenia skromnem i wdzięcznem przyjęliśmy sercem, o tyle nie mniejszą radością przejmują nas ciągłe dowody miłości ze strony naszych Czytelników, których liczba wzrasta z dnia na dzień.

Listy te, najczęściej twardą, spracowaną pisane ręką, są dla nas najmilszą zapłatą za trudy i najmilszą lekturą. Jak u źródła w dzień skwarny, tak można orzeźwić ducha, czytając te korespondencye, pełne niezgłębionej miłości Bożej i bliźniego, hartu i męstwa iście chrześcijańskiego, wiary i ufności w miłosierdzie Boże.



CONGRESSO
MARIANO MONDIALE

G. GROSS

Do Szanownej Redakcyi
„Dzwonka Częstochowskiego“

Kongres wszechświatowy ku czci Niepokalanej Matki Bożej w Rzymie odbył się z niesłychaną okazałością. Brało w nim udział kilkunastu Kardynałów, parę set biskupów, niezliczona ilość uczonych z całego świata. Mowy były prawie wszystkie wyłącznie wygłaszane ku czci Matki Bożej. O Dzwonku Częstochowskim przemawiał Kanonik [illegible] kościele Matki Boskiej Śnieżnej. Ksiądz Glorieux w sekcyi prasy. Zasypywany przez księży z Polski i czcicieli Maryi tysiącami oklasków. Jego Excellencya Książę Arcybiskup [illegible] i inni bawiący tu biskupi polscy z wielkiem uznaniem wyrażali się o Dzwonku, jako wydawnictwie poświęconem czci Maryi Najświętszej w naszym kraju.
Uczestnik kongresu w Rzymie Ksiądz Kazimierz Grabowski.

Prenumerata „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO“ wynosi: w Częstochowie rocznie rub. 3, półrocznie rub. 1.50, kwartalnie kop. 75. Z przesyłką pocztową rub. 4, półrocznie rub. 2, kwartalnie rub. 1. W Austryi rocznie koron 10, półrocznie koron 5.—W Niemczech: rocznie marek 9, półrocznie marek 5. Cena ogłoszeń: Na całej stronicy rub. 12, na połowie stronicy rub. 8, na czwartej części stronicy rub. 5 i za wiersz 75 kop.

Prenumeratorzy miejscowi za odnoszenie pisma do domu dopłacają 10 kop. kwartalnie.

Listy należy adresować:

Redakcyą „Dzwonka Częstochowskiego“ pod Jasną-Górą w Częstochowie.

Redaktor i Wydawca: **Ksiądz Józef Adamczyk.**

CZĘŚĆ II.

BOGARODZICA NASZĄ MATKĄ.

O czci należnej Matce Najświętszej Maryi.

Cześć Najświętszej Maryi Panny starą jest jako i świat — pismo ś-te o tem daje świadectwo. Wszakże Marya miała zetrzeć głowę węża kusiciela, Ona dać miała światu Emanuela — stając się nową Ewą.

Cześć Maryi w Starym Testamencie była w zarodku — jakby w komórce, z której na wzór gorczycznego ziarnka—powinno było wyróść rozłożyste drzewo; ale chociaż dziś pięknem ono jaśnieje kwieciem — wielu ma o tej czci Maryi niedokładne a nawet mylne pojęcia.

Do rozpowszechnienia onych pojęć w dużej mierze przyczyniają się różne książki nabożne — nie dla czyjegoś jednak zbudowania, ale gwoli zysku wydawane.

Przedewszystkiem głosi się i wychwala świętość Maryi, iż takowa wysłużyła Jej szczególne łaski Boże.

Stawiają nam za wzór pokorę Maryi — Jej posłuszeństwo, — doszukują wszystkich cnót, wykazując, iż była pełną łaski, bo i zasług pełną.

Niema w tem nic omylnego.

Najświętsza Panna nie byłaby przedmiotem religijnej czci — gdyby nie była skarbnicą cnót i świętości.

Ale nie można tego pomijać i o tem zapominać, że macierzyństwo boskie, główny stanowi tytuł do tej czci, jaką Kościół oddaje Maryi. Oto co mówi ś-ty Tomasz; cześć zwana hyperdulją jest najwyższym rodzajem czci oznaczonej wyrazem dulji, w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu, gdyż uczczenie, które przechodzi zwyczajne sposoby i wywołuje objawy wyższych uczuć, nie wytrzymujących zwykłej dla innych miary — musi się opierać na bliższym stosunku człowieka z Bogiem — jakiemś, rzec można, z Nim pokrewieństwie [1]).

[1]) S. Th. 3 p. qu 25 a 5.

Pierwszym zaś pokrewieństwa stopniem jest stosunek matki do Syna, a więc macierzyństwo boskie Maryi.

I dalej pisze, Najświętsza Panna, będąc istotą ludzką, nie ma prawa do czci Bogu należnej (latria); co zaś tyczy się czci (dulii), ponieważ szczególniejszą posiadła łaskę i stała się matką Bożą z tej przyczyny, cześć jej okazywana wyższą jest od czci innych świętych— (hyperdulia) [1].

W tym sensie wyraża się i w innem miejscu: Najświętsza Panna nie może odbierać czci oznaczonej wyrazem latria — jednakże ponieważ ją czcimy, nie tylko dla jej cnót i świętości — ale z przyczyny Syna, jako jest matką Boga-człowieka — ponieważ należy do Chrystusa, oddajemy jej cześć wyższą (hyperdulia) [2].

Posłuchajmy ś-ego Bonawentury: „Błogosławiona Marya jest istotą stworzoną i nie może rościć sobie prawa do czci należnej Bogu (lutria). Ale ponieważ nosi wysokie imię i żadna ludzka istota z nią się równać nie może — cześć jej składana nie należy do rodzaju (dulii) ale zowie się hyperdulią.

„Imię — o którem wspomniałem, to Marya, matka Boża, tak wysokiego znaczenia, iż nie tylko my pielgrzymujący — szczególnym obyczajem je wyróżniamy, ale i duchy anielskie. Jako Matka Boża nad inne stworzenia wywyższona, wyższej czci zażywa“ [3]).

„Inna przyczyna, mówi Suarez, która nas skłania do oddawania czci Maryi, leży w Jej boskiem macierzyństwie. Godność ta, nie jest oznaką zewnętrzną — ale opiera się na prawdziwym związku z Chrystusem, podobnie jak godność dziedziczna króla z jego osobą złączona;—ten wzgląd wystarcza, aby cześć Maryi oddawana, była wyłączną czcią Maryi należną — czyli konieczną, (absolutną).

Dlatego i sama Najświętsza Marya Panna mówi: „Uczynił mi Pan wielkie rzeczy — albowiem wejrzał na nizkość służebnicy swojej i odtąd błogosławioną mię zwać będą wszystkie narody” [4]).

Możemy także do Maryi odnieść te słowa Apostoła; sama się poniżyła, dlaczego Bóg ją wywyższył i darował jej imię po Bogu jest nad wszelkie imię [5]).

Marya, Matka Boża, oto imię, na które zgina się nasze kolano w uznaniu Jej dostojności; — słusznem jest woła ś-ty Jan Damasceński

---

1) J. Th. 2, 2, 9, 103 ar. 4.

2) Św. Bonaw. in Sent. III D. q. n. s.

3) De Mysterii vitae Christi D.

4) Luc. 1.

5) Do Filip 2, 8, 9.



Królowo nieba i ziemi módl się za nami

aby Matka uczestniczyła w tem, co należy do Syna i była czczona od wszelkiego stworzenia [1]).

Oto dokładne wyjaśnienie, skąd płyną nasze hołdy dla Maryi.

Godność Matki Boga-człowieka nadaje Jej wyłączne prawa — jakby jakiejś królewskości — a tem samem obowiązuje do odpowiedniego uszanowania. I w samej rzeczy — mówi Suarez, zważywszy, iż wszystkie inne prerogatywy jednoczą się — niejako zlewają w macierzyństwie Maryi — należy takowe uważać za najwspanialszą dostojność — cześć do niej zastosowana ma inne przewyższać.

Twierdzenie to zupełnie zgodne z nauką Kościoła; — wychwala ona i podnosi głównie macierzyństwo i stawia jako pobudkę do oddawania czci Najświętszej Pannie [2]).

Dodajmy, że owa godność Matki Bożej wymagająca w Niej odpowiedniego przysposobienia, jakby wspólnaturalnego (connaturalis) nie dopuszcza ujmy w oddawaniu czci, gdyż macierzyństwo Boże mówi nam o pełności cnót i pełności łask złączonych w jej osobie. Z tej to przyczyny, sposoby uczczenia Maryi osobną noszą cechę zastosowaną do jej dostojeństwa.

*

* *

Czytelnicy moi — pomni tego, cośmy dotąd w poprzedniej części mówili, gotowi uczynić uwagę: słyszymy, że macierzyństwo Boskie Maryi główną jest podstawą oddawanej Jej przez nas czci, a zarazem potężnym bodźcem do uwielbień powszechnie okazywanych, ponieważ macierzyństwo to Boskie nie tylko jest godnością najwyższą, jaka mogła spotkać istotę stworzoną — ale nadto łączy ono w sobie szczyt chwały, a zarazem zbiór łask zjednanych pokorą i świętością — niepokalaną czystością. Czy jednak macierzyństwo duchowe, utwierdzające nas w przekonaniu, iż Matka Boża jest i naszą matką, nie ma żadnego znaczenia odnośnie do czci okazywanej Najświętszej Pannie? Cierpliwości — spokojni bądźcie! — Wielbić Matkę Bożą znaczy nie tylko czcić Świętą i Błogosławioną Matkę Syna Bożego, ale także i matkę naszą — gdyż macierzyństwo duchowe, nie tylko jest nierozdzielne z Boskiem macierzyństwem, ale z niego wypływa, jako ze swego źródła. Twierdzenie to trzeba uzasadnić.

A najpierw powiedzmy, które to są czynności, akty — zaliczyć się mogące do czci, o jaką się dopominacie. Ś-ty Tomasz rozróżnia

---

[1]) Joan. D. Orat. de Assumf.

[2]) Felix namque es, sacra birgo Maria, et omni lande dignissima, quia ex te ortus est Sal jussitiae, Christus Deus noster. Ex off Rom. resp. post 7 lection.

trzy rodzaje: Do pierwszego zalicza czynności, które stanowią formalnie to, co nazywamy kultem religijnym samym w sobie — tu należy: adoracya — ofiara Najświętszego Sakramentu, i t. p. Oprócz tych objawów bądź wewnętrznych, bądź zewnętrznych czci religijnej, są czynności, których podstawą cnota wiary, nadziei lub miłości, — dążące do celów sobie właściwych, bo jak mówi Ś-ty Jakób: nabożeństwo czyste i niepokalane u Boga Ojca, to jest: nawiedzać sieroty i wdowy w ucisku ich, a siebie zachować niezmazanym od tego świata. (1,27).

Trzymając się planu raz nakreślonego — pamiętając o duchowem macierzyństwie Maryi — wiedzieć powinniśmy, jako ono skłania nas do oddawania czci należnej Matce naszej — czci wyższej niż innym świętym (hyperdulie).

Dlaczego? Dla tej jasnej przyczyny, iż należy się honor, chwała i uszanowanie Temu, który jest początkiem i ustanowicielem wszystkiego. Jeżeli dziecko ma oddawać Ojcu uszanowanie i posłuszeństwo, — uczeń nauczycielowi — jeżeli mamy we czci mieć kapłanów, to dla tego, iż względnie do nas zajmują stanowisko mniej lub więcej wysokie i podług tego układa się miara szacunku im należnego.

I nic nad to słuszniejszego, gdyż każdy, uczestnicząc w pewnej mierze i w swoim porządku, w wywyższeniu, które stawia Boga jako ostateczny i najwyższy kres naszych adoracyj, czy nie należy się, aby także uczestniczył w czci tego pierwszego źródła władzy — godności — Stworzyciela i Zachowawcy wszystkiego — co nim nie jest?

Obróćmy się ku Maryi matce naszej, cóż w niej widzimy? Oto uczestnictwo — największe w swym porządku — uczestnictwo w duchowem ojcostwie Boga. Istność Boska moja — obraz natury nad wszystką naturę, który promienieje w mojej duszy, i sprawia, że jestem dziecięciem Bożem — dziedzicem nieba i współdziedzicem Jezusa Chrystusa — po Panu Jezusie — zawdzięczam Matce naszej Maryi. Nikt po Panu Jezusie — nie przyłożył się więcej do mego odrodzenia nad Matkę Zbawiciela — nikt więcej od niej nie czuwa i do doskonałości mi nie dopomaga. — Oto dlaczego Maryę czczę i wielbię!...

Ks. Wł. F.





ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA
Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Jezus uzdrawia uschłą rękę człowiekowi.

Stało się też i w drugi szabat, że wszedł do bóżnicy, i uczył. A był tam człowiek, a ręka prawa jego była uschła. I podstrzegali Doktorowie i Faryzeuszowie, jeśliby w szabat uzdrawiał, aby znaleźli, o coby Nań skarżyli. A On wiedział myśli ich, i rzekł człowiekowi, który miał rękę uschłą: Wstań, a stań w pośrodku. I powstawszy, stanął. I rzekł do nich Jezus: Pytam was, jeśli się godzi w szabaty dobrze czynić czyli źle? duszę zachować, czyli zatracić? A spojrzawszy po wszystkich, rzekł człowiekowi: Wyciągnij rękę twoję. I wyciągnął: i przywrócona jest ręka jego. A oni napełnili się szaleństwa, i namawiali się, coby uczynić Jezusowi.

Szabat to dzień Mesyaszowy. W całym kraju, w kościele, w każdej synagodze wszystkie pragnienia, wszystkie wzdychania Izraela czekają na Szabat, bo w nim znajduje swój żywy, uroczysty wyraz, wszystko, co przez cały tydzień w głębi serca dyszało — we wspólnej modlitwie, w czytaniu proroków, w dzień Sobotni orzeźwiają się serca. Mesyasz głównie w Szabaty czyni cuda, w tym dniu idzie do synagogi, w pośród Swojego ludu chce przebywać, chce mu się objawiać w dzień Sobotni, bo chce pokazać, że jest Panem i Szabatu.

Owóż i dziś w dzień sobotni idzie Jezus do synagogi, nauczać „łamać chleb” ludowi swemu. W bóżnicy znalazł się człowiek, którego prawa ręka była uschnięta. Prawa ręka — nieszczęście tem większe, bo nie zdatna do roboty. Widok tego nieszczęśliwego człowieka pobudza od razu Jezusa do litości, ale też chodziło i o Faryzeuszów, „którzy Go podstrzegali, jeśliby w Szabat uzdrawiał, aby naleźli, o coby Nań skarżyli.“ Co za ogrom złości wyrażony w tych kilku słowach! Nie wątpią już wcale, że Jezus mocen uzdrowić — to ich wcale nie uderza, do rozwagi nie przywodzi, patrzą tylko, czy też w Szabat uzdrowi, a jeśli uzdrowi, to będą mieli o co oskarżyć. Gorszyli się co dopiero, że uczniowie zrywali kłosy na polu, teraz podstrzegają, czy biednemu nędzarzowi rękę uzdrowi. Tam milczeli, taili w sobie złość, gdy ich Jezus pokonał na głowę; dziś chcą się już jawnie zemścić.

Jezus wiedział myśli ich. Wobec tego niedowiarstwa, wobec tej zakamieniałej bezlitości, Jezus uczuwa w Sobie święty gniew, zrywa z nich larwę obłudy: „Wstań”—rzecze nagle—„a stań w pośrodku!” Rozkaz przychodzi z tak nagła, tak niespodzianie, zaciekawienie ogromne, a jeszcze większe, gdy Jezus zwrócił się do Faryzeuszów i rzekł: „Pytam was, jeśli się godzi w Szabaty dobrze czynić, czyli źle, duszę zachować, czyli zatracić?” Faryzeusze milczą. Jezus patrzy po nich wzrokiem wyrzutu i gniewu, bo samo już to pytanie powinno ich zawstydzić, wykazać wszystką przewrotność, wszystką złość serca. Zwracając się do człowieka, rzekł: „Wyciągnij rękę twoję! I wyciągnął, i przywrócona jest ręka jego.”

I co się stało? „Oni napełnili się szaleństwem, i namawiali się, coby uczynić Jezusowi.” A ewangielista Marek dodaje, że Faryzeuszowie wyszli i czynili naradę z Herodyanami przeciwko Jezusowi, jakoby Go stracili. I to za to, że w Szabat jednemu z braci ich, Izraelicie, uzdrowił rękę, dał sposób do pracy. Prawdziwie, to już szaleństwo! W napadzie tego szaleństwa naradzają się, czyby się nie dało na miejscu pojmać Jezusa. I ci wielcy patryoci, ci świętobliwi Izraelici nie wahają się wchodzić w naradę z Herodyanami, z nieprzyjaciołmi Izraela. Mesyasza swego gotowi wydać w ręce pogan.

Jezus rozumie doskonale całą grozę położenia, ale ani na chwilę nie przerwie rozpoczętego dzieła, prawdziwie po Mesyańsku odeprze niecne zamachy, spokojnie będzie kroczył naprzód drogą, która do zwycięztwa, do tryumfu prowadzi.

W otoczeniu wielkiej rzeszy ludu, Jezus zmierza w kierunku do jeziora Genezareth. Po drodze uzdrawia chorych i niemocnych wszelakiego rodzaju. Natłok ludu ogromny. Uczniowie pragną zapobiedz, by Go rzesze nie cisnęły, upatrują dlań łódkę, na którejby

się mógł schronić. (Marek 3, 10). Wszystkim cudownie uzdrowionym Jezus przykazuje, by Go nie objawiali. Dlaczego? Aby się wypełniło, co jest powiedziano przez Izajasza proroka mówiącego: „Oto sługa mój, któregom obrał, miły mój, w którym się dobrze upodobało duszy mojej. Położę ducha mojego na nim, a sąd poganom opowie. Nie będzie się wadził, ani będzie wołał, i nikt nie usłyszy po ulicach głosu jego. Trzciny zgniecionej nie złamie, a lnu kurzącego się nie zagasi, aż wystawi sąd ku zwycięztwu. A w imieniu jego poganie będą nadzieję mieli." (Mateusz 12, 16—22). Dla tego „sługi Bożego", zanim nadejdzie dzień zwycięztwa, dzień zmartwychwstania, przystoi zjawienie się pokorne, pełne łagodności; więc opowiadając „sąd" swój, „prawo" swoje, nie wadzi się, nie woła: przez tę pokorę i zmiłowanie osiągnę zwycięztwo. Jako „sługa Boży", uniżon do postaci sługi, unika wszelkiego rozgłosu, podziwu, okrzyków tryumfu, kocha się w cichości, w ukryciu. Nie wadząc się, ani wołając, „sąd" swój, „prawo" swoje wystawi ku zwycięztwu.

W takiż sposób, bez rozgłosu i wrzawy, dokonuje się stanowczy krok: wybór Apostołów.

Miasto Kafarnaum otaczają półkolem nieznaczne wzgórza. Na jednę z takich wyżyn, na górę odchodzi Jezus Sam na Sam raz, by wypoczął po całodziennym trudzie, a potem, by „nocować na modlitwie Bożej." Jezus „nocuje", całą noc spędza na modlitwie: to zapowiada coś niezwykłego, coś nader ważnego. O co modli się? Z pośród uczniów zamierza wybrać dwunastu, żeby byli „Apostołami" Jego. Dlaczego wybiera Apostołów?, czy oni tak bardzo potrzebni? Co dopiero przekonał się ostatecznie, że Izrael, własny lud, nie chce uwierzyć weń; że Faryzeuszowie, kapłani i pisma uczeni chcą zabić swego Mesyasza, wszystkich starań dołożą, by razem z Nim i dzieło Jego, królestwo Jego Mesyańskie, zniweczyć. Tego nie dokażą — dla tego właśnie wybiera Apostołów; ale odtąd też nastąpi rozbrat między Izraelem a królestwem Mesyaszowem, między świątynią w Jeruzalem a Kościołem, odtąd nastanie nieprzyjaźń, walka na śmierć, i teraz rozgrywają się losy ludu i losy świątyni. Ta nocna modlitwa Syna człowieczego, to najdzielniejszy oręż, z jakim w chwili krytycznej stawa do walki oko w oko z nieprzyjaciołmi, z niedowiarstwem, z piekłem. Jezus „modli się", gdyż ostatecznie „Ojciec" daje Mu Apostołów, Duch święty ich wybiera. Ci „dwunastu" to dojrzały a bogaty plon Mesyańskiego wychowania, to słupy i fundamenta przyszłego Kościoła, więc ich ma na celu w tej żarliwej nocnej modlitwie Swojej. Stawa Mu przed oczyma straszliwy obraz przyszłości, niedowiarstwo Izraela, męka i śmierć, sąd nad Jeruzalem,

więc modli się za uczniów, za Siebie, za nieprzyjaciół, za nieszczęśliwy naród Swój.

Nad ranem, gdy był dzień, Jezus przyzywa do Siebie uczniów, którzy w pobliżu u stóp góry nocowali. To tak rychłe wezwanie, budzi oczywiście w nich ciekawość, każe się im czegoś nadzwyczajnego spodziewać; już wczoraj, gdy odchodził Sam na górę, domyślali się czegoś niezwykłego. Przychodzą. Koło Mistrza zbiera się znaczny zastęp; z tej gromady Jezus wybiera, jednego po drugim, „dwunastu", którzy odtąd zwać się będą Apostołami. Imiona ich są: Szymon Piotr i Andrzej, Jakób i Jan, Filip i Bartłomiej, Mateusz i Tomasz, Jakób syn Alfeusza i Szymon zwan „Zelotem" (Gorliwy), Juda, brat Jakóba, i wreszcie Judasz Iskariot.

W Samaryi, tam u studni Jakóbowej, pięciu czy sześciu z najpierwszych, którzy poszli za Mistrzem na wezwanie Jego, słyszało z ust Jezusowych zapowiedź, że ich powołaniem zbierać żniwo Mesyaszowe: to spełnia się dziś. Mamy oto żniwiarzy królestwa Mesyaszowego, bez których ani jeden snopek nie pójdzie do stodoły, mamy „Apostołów". Nie wybiorą się oni zaraz teraz do roboty; wpierw samże Mistrz musi dzieła Swego dokonać, musi ich w urząd wprawić, zwolna wychować, wykształcić.

Wszystka wielkość Apostolska ma swoje źródło i przyczynę w stosunku, jaki Mesyasz bezpośrednio i osobiście zawiązuje z tymi dwunastoma, i z nimi tylko. Tajemnicę własnej Swojej wielkości wskazywał Jezus niejednokrotnie w tem, że jest Synem Bożym, że jest „posłan od Ojca" na świat, dla zbawienia świata, aby dał świadectwo temu, co widział u Ojca, objawił się jako spełnienie nadziei Izraelowych, jako Poseł oczekiwany z Nieba, jako „Apostół" (do Żydów 3, 1): dziś tej wielkości Swojej uczestnikami czyni „dwunastu". Przeznaczenie ich i godność jest ta: „Jako Mię posłał Ojciec, tak i Ja was posyłam." Synowi Swemu, posłanemu na świat, Ojciec daje pełność Ducha,. Ducha Świętego, i w tej mocy Ducha, Jezus rozpoczyna i zatwierdza Swe posłannictwo. Dlatego może teraz już Sam wybrać Sobie „posłów", posyłać ich tak, jak Sam był posłan; może ich przypuścić do uczestnictwa w Swem posłannictwie, a więc i do uczestnictwa w pełności Ducha Swojego. Z tego bezpośredniego stosunku Apostołów do Chrystusa, który ich i tylko ich posłał, wykazuje się wzniosłe stanowisko Apostołów w Kościele. Chrystus Pan jest fundamentem Kościoła, kamieniem węgielnym; ale wybierając „dwunastu", chce być fundamentem z nimi spólnie; chce, by ci Apostołowie ugruntowani na kamieniu węgielnym, na swym Mistrzu, zbierali, gromadzili kamienie, wiernych, do budowania Kościoła, te kamienie wiązali z sobą, między członkami a nimże samym naturaln



Powołanie przez Chrystusa Pana Apostołów: Piotra i Andrzeja.

tworzyli spójnią. I w tem wybitne znamię Kościoła — jego „Apostolskość“. Co jeno posiada Kościół prawdy, łask, władzy, to ma od Apostołów, jako ich dziedzic nieśmiertelny i następca; a co w Kościele nie jest Apostolskie, od Apostołów nie idzie, to nie ma cechy Boskości, znamienia, potwierdzającego związek z Chrystusem, to życia mieć nie może, bo życie, daje Zbawiciel jedynie przez Apostołów Swoich.

Dlaczego „dwunastu?“

Na czele dziejów Izraelowych widzimy „dwunastu“ Patryarchów. Tylko, kto od jednego z dwunastu synów Jakóbowych pochodzi, należy do przymierza, które Jehowa zawarł z Abrahamem, Izaakiem i Jakóbem; w nich nasienie, któremu obiecane błogosławieństwa przymierza; oni rodzą, dają życie pokoleniom z prawami do obietnicy, do łask przymierza, do praw wybrania. To nasienie Patryarchów wydało na ostatku w Synu Panny najśliczniejszy swój owoc: w Mesyaszu Izrael cielesny staje się duchowym. Więc kiedy chodzi teraz o urzeczywistnienie figury, z nowego, duchowego nasienia wytworzyć nowy lud Izraelowy, liczniejszy, niż gwiazdy na niebie, to znowuż widzimy „dwunastu“ ojców duchownych, z których idzie nowe życie, pełność łaski. Apostołowie są „Patryarchami“ nowego przymierza, do którego należą prawi synowie Abrahamowi, powołani Święci. I dlatego Kościół jako Kościół Apostolski w korzeniu swym, w Apostołach jest prawym „Izraelitą“, jest Izraelem duchownym, boć Apostołowie są Izraelitami, jako potomkowie wielkich Patryarchów, przez wiarę swą w Mesyasza są przedstawicielami ludu swego, imię Izraelowe zachowują, podczas gdy Izrael niewierny zatraca swe imię i ginie. Tak spełniają się przepowiednie, obietnice, prawa Izraelowe. Izrael według ciała, według krwi, synowie według ciała Abrahama, Izaaka i Jakóba są podwaliną, fundamentem Kościoła, ale tak, że w tejże chwili skutkiem uświęcającej mocy wiary, ciało przemienia się w ducha, Izrael cielesny w Izraela duchownego. A więc liczba „dwunastu“ Apostołów to nie coś przypadkowego, lecz liczba raz na zawsze ustalona. Ta liczba jest uświęcona, konieczna w dziele zbawienia tak dalece, że po obwieszeniu się nieszczęsnego Judasza, jeszcze przed zesłaniem Ducha Świętego musiała być uzupełniona, a po śmierci męczeńskiej Jakóba apostoła, do grona dwunastu wstępuje Paweł. (D. c. n.).



BOLESŁAW BIERNACKI.

NAWRÓCONY.

Powieść historyczna z XIV wieku.

XVIII.

W piastowem gnieździe Odrowążów miał Jan Oksza piękny modrzewiowy dwór, liczne zabudowania gospodarskie, sady owocowe, winnice, pola uprawne pracowitą ręką dziadów ponurym borom wydarte, lasy, a w nich pasieki słodkie. Stada bydła, koni, owiec, trzody chlewnej wypasały się na łąkach. Sławny był Jan Oksza z nieustraszonego męstwa: z piosenką wesołą na ustach szedł w bój tak dobrze na tatarzyna jak i na krzyżaka, nie drżał kiedy do około rozlegał się okrzyk: chrobra Litwa wali. Pod Płowcami przy boku królewskim rozciągał rycerzów Maryi, aż go stary król rozczulony, ucałował jako syna. I wiele lat w pracy poczciwej zbiegło Janowi. Córkę jedyną miał, podobną wzrostem do sosny wysmukłej i już nadchodził czas, że miał ją wywianować godnie za zacnego rycerza Stefana z pod Skały, kiedy okrutny los go ugodził. Wybrał się na łowy do powinowatego, aż na Mazowsze. Za żubrem zapędził się głęboko w puszczę i wpadł w ręce Prusaków. Że Jan Oksza porwan w niewolę, przyniósł wieść strapiony Stefan z pod Skały.

Dziewka, miast zawodzić rozgłośnym płaczem, śladem innych białogłów, rzekła krótko tak:

— Kto mi rodziciela przywiedzie z niewoli pruskiej, temu oddam i siebie i wiano swoje, a do grobowej deski będę go miłować jako małżonka najwierniejsza.

I stało się.

Stefan z pod Skały dobrał sobie przyjaciela, mieszki wyładował srebrnemi grzywnami, rzucił chatę rodzicielską i poszedł w świat.

Ani widu, ani słychu... Nikt nie wiedział kędy przepadał. Ot w lasy na łowy wyciągnął i zginął. Dopust Boży!

Jedna tylko dziewka Jana Okszy, nadobna Maryna, co drugi dzień szła po modlitwach wieczornych do kościelnego, który wpuszczał ją do babińca i tam ostawiał ją samą. Dziewka krzyżem leżała do północka. Równo z pianiem pierwszego kura, wracała Maryna do komory, ale jeszcze nie szła spać. Modliła się nad łożem rodziciela, powtarzając często:—Boże, Ojcze, Jezu Chryste, Duchu Święty, powróć ich wszystkich cało na łono Matki, ziemi rodzonej.

Tymczasem Stefan z pod Skały dotarł aż do Malborga, bo dowiedział się od ludzi nęconych denarkami, że właśnie taki a taki Lach, w lasach mazowieckich na łowach uchwycon, w malborskim lochu gnije. Osiadł tedy pod Malborgiem w majętności grafa Gutmeiera i tam służby parobka sprawował. Upłynął rok jeden i drugi. Siła zniewag od Niemców zniósł; ale na placówce wytrwał; srebrnemi groszami zjednywał ku sobie jednego po drugim. Celu głównego nie spuszczał ani na chwilę z oka: dotrzeć do lochu i wyprowadzić z niego Jana Okszę. Z czasem samo szczęście w garść mu wpadło. Córka głównego dozorcy wieży dolnej rozmiłowała się w nim na umór. Jął się tedy zalecanek, ażeby tem skuteczniej dotrzeć do Jana. I sam dozorca wieży, chory Müller, polubił z czasem Stefana i miejsce pomocnika u siebie mu dał.

Tym tedy kształtem żyjąc fortelami przez trzy zimy długie, dotarł wreszcie do celi Jana Okszy... Uradzili wespół, aby nie inaczej, jedno w szatach krzyżackich bitym traktem, na jaśni, wydobyć się z niewoli.

Bóg zamysłom pobłogosławił. Stefan ze Skały pokonał wszelkie przeciwności i wprowadził rodziciela nadobnej Maryny do prastarego Odrowąża.

Dobiesław wsłuchiwał się w te arkana poświęceń w ten długi łańcuch ofiar, cierpień jakie podjął i zniósł Stefan z pod Skały dla nadobnej Maryny i dojmować go począł ból sromu dotkliwszy, niż rany zadane mieczem, albo strzałą. — Com ja uczynił dla tej mojej niebogiej, ażeby ją wyrwać z krwawych rąk Mścisława? Powinienem był żywot dać bez wahania za nią. Wszakże dziad jej przytulił mnie do łona swego, ogrzał wtedy kiedym był jako pień sam jeden na świecie, głodny i opuszczony.

Uciekał Dobiesław na wzgórze pod Kielce, wpatrywał się we mgły nocne i patrzał, czy nie zobaczy wyniosłej wieżycy klasztoru Benedyktynów na Łysej. Kilka dziesiątków łanów dzieli go od tej puszczy, w której tyle zim, tyle wiosen z Hanką przebył, przemarzył. Chciał pędzić tam, a żelazna siła trzymała go jak skutego na

miejscu. Po co pójdę, co rzeknę? Powinowaci powiedzieli już jej, żem z chrobrą Litwą najechał Mazowsze. Rety, rety!

— Łapał się za głowę i kształtem człeka szalonego, tłukł nią o stare dęby.

— Ale... czy ona żyje jeszcze, czy też nie?

Wtedy jęki przechodziły w wycia dzikiego zwierza. Nikt mu nie odpowiadał, jedno echo odbite o tysiączne skały przynosiło toż samo pytanie:

— Czy żyje!?

Taką trucizną ponurych rozmyślań gnębił się Dobiesław i nie wiedział co począć z sobą. Kłębiły w nim się uczucia sprzeczne. Pomsta za krzywdę—nutę takową wyssał z piersi matki litwinki, miłosierdzie i zmiłowanie, spotykał na każdym kroku u lachów, przeto w rozdartej piersi poganina, nie mogły się pomieścić te dwa wrogie sobie żywioły i staczały bój na żywot lub śmierć. Poganin Litwin nawet teraz jeszcze w Odrowążu podnosił głowę, lecz nie miał już mocy kąsać zjadliwie, zmocowywał go duch chrześcijanina Lacha.

Na takich smętkach zbiegło Dobiesławowi lato. Stanęła piękna, wymarzona, oblana rumieńcami, jak jabłuszko tynieckie, polska jesień. Lasy malowane jaskrawemi barwami, mieniły się jako obręcz tęczowa. Smakowite owoce połyskały w sadach. W gumnach ziarno wszelakie, cenniejsze nad srebro i złoto nie mogło się pomieścić. Ludziom serca rosły, ochota w piersiach grała na widok tych nieprzebranych darów bożych.

— U nas na Litwie inaczej — wzdychał Dobiesław, patrząc na rozradowane dostatkiem twarze. Inaczej!.. Obracał wzrok na północ, zataczał półkole i zatrzymywał się na wieżycach klasztoru benedyktynów.

— Czy żyje?

Z listopadowemi wichrami, poczęły nadchodzić wieści o chorobie króla Kazimierza...

Na łowach spadł z konia... Gorączkuje... Medykowie tracą nadzieję, czy niemoc przetrzyma?..

Żałosne te nowiny mroziły serca ludzkie, smutkiem głębokim wyciągały twarze. Prysły uciechy. Serca drżały o żywot dobrego króla.

I przyszedł dzień okrutny. O północy zajęczały nagle żałobne dzwony na wieży kościołka. Wszyscy wiedzieli co ten jęk dzwonów znaczy. Zerwali się ludzie z pościeli. Wielki płacz rozlegał się w około. Łkały niewiasty i dzieci, w źrenicach hartownych mężów świeciły łzy. Precz poszły stroje barwiste, a miejsce ich zajęły czar-

ne, zbrukane szaty... Posypali ludzie czoła popiołem, a głowy osłonili workami pokutnemi.

— Chodź z nami—rzekł Jan Oksza do Dobiesława.—W Krakowie grzebać króla będą, strząśniesz i ty śluzy swoje przy zwłokach największego bohatera, jakiego wydały polskie nasze ziemie.

Ociągał się Dobiesław, wtedy nadobna Maryna wejrzała nań okiem dobroci, a pobłażania.

— Rodzic dobrze wam radzą. Słuchajcie go. W smętku jakim skrycie się pławicie do cna szczezniecie. Szkoda waszych młodych lat, wyjmijcie gadzinę zatrutą z piersi — szmat życia przed wami, jedno zaniechajcie tych rozpacznych strapień.

Wyciągnął do niej ręce Dobiesław i drżącym głosem rzekł:

— Wyście wszyscy za dobrzy dla mnie...

— Zmora was gnębi, kiedy przestanie, całkiem inaczej prawić z wami będziemy, rozpocznijcie jedno lekowanie jaknajprędzej. Pójdziecie?

Mienił się młodzian na twarzy, gdyż całkiem inny żywił plan w duszy. Skoro Jan oraz inni wyruszą na pogrzeb do Krakowa, on skończy tu z sobą, z pierwszej lepszej skały rzuci się w przepaść. Dziewka jakoby czytała zamysł młodzieńca, coraz żywiej nacierała, powtarzając:

— Słuchajcie rady rodzica: chodźcie z nami.

— Pójdę, przełamał się wreszcie Dobiesław.

— O! zaklasnęła w dłonie Maryna—toście mi zacnie rzekli. Tak być powinno, żebyście nas słuchali, a przepomnicie o tym co boli łacniej.

Szykował się Kraków do pogrzebu ukochanego króla kmiotków. Wszystkiemi drogami ciągnęli duchowni, rycerze, mieszczanie, kmiecie, z jedenastu rozległych ziem, podległych berłu Kazimierzowskiemu, do prastarego grodu Kraka. Rozległe komnaty zamkowe zajęli dostojnicy kościoła, przedstawiciele ościennych narodów, comesowie oraz inni wsławieni rozległemi dziedzinami. Dworzyszcza pełne ludzi. Jan Oksza wraz z towarzyszami szukał przytułku w piwnicy radnickiej. Pogwar był tam większy, niż zazwyczaj. Z trudem wielkim dotarli przybyli z Odrowąża do ławy, na której spocząć mogli. Długo dąsał się Jan Oksza zanim mu przyniosła karczmarka piwa świdnickiego. Brzęczały głosy jak w ulu, jeden drugiego nie słyszał, ani rozumiał, spienionym potokiem przewalała się wrzawa. Naraz po nad hałas skłębionej ciżby, wygórował głos jeden mocny, silniejszy niż rozgłos rozkołysanego wielkiego dzwonu. Twarze obróciły się w stronę, z której szedł głos potężny:

— Uciszcie się!

Podniósł się z ławy Dobiesław. Spojrzał. Mrugać począł oczami, przecierał je, bo mu się zdawało, że człeka, który stał na wysokiem wzniesieniu na środku izby, widział i znał.

Był to Rybałt, który tak gładko prawił:

— Wiedzieć żeście powinni, każdy—czy siedzi w mrocznych lasach, czy na jasnych łanach, czy za ladą w kramnicy, jakie dolegliwości zmogły i zbawiły życia króla naszego.

— Mówcie, wiedzieć chcemy—zerwały się głosy.

— Tedy uciszcie się, a karczmarka niech mi poda puharek miodu, bym raz wraz odwilżyć mógł zeschłe gardło... Tak jest! Lejcie śluzy męże i niewiasty!

W sam dzień Matki Bożej wyjechał król do lasów polować na jelenie, a kiedy skwapliwie po krzakach zwierza dojeżdżał, spadł z konia i ciężką ranę na goleniu odniósł.

— Wiadomo, podniósł się głos ze strony radzieckich, święto pogwałcił: nieczysta to siła zwabiła go na łowy.

— Czekajcie!.. Szwank na nodze i utrząśnienie wprawiły pana naszego w gorączkę. W Sandomierzu, mimo zakazu medyków, zażywać począł łowu, grzybami, orzechami i innemi owocami się obciążył, a większą jeszcze niemoc sprawiła w nim zimna woda, której się chciwie napił, tak, że ledwo na pół żywy przybył do Chrobrzan. Nazajutrz jednak przyszedł nieco do sił lepszych i udał się do Koprzywnicy. Najbliżsi wsadzili króla do lektyki i na przemiany nieśli, aż do klasztoru OO. Cystersów. Tam ślub uczynił, że jeżeli do zdrowia przyjdzie, podniesie z gruzów kościół płocki i pewnej liczbie kapłanów przy nim, należyte da opatrzenie. Za polepszeniem zdrowia, jechał król z Koprzywnicy do Osieka. Powadzili się medykowie: jeden bronił, drugi pozwolił królowi napić się miodu, z którym napojem gorączka i większa słabość się wróciła.

— Na koło rakarza! Który to z nich!—wołały głosy.

— Później, po pogrzebie przezacni, najdziemy go i rozedrzemy na szmaty—a teraz słuchajcie wciąż, bom nie daleki końca.

— Zacnie prawi!—zwrócił się Jan Oksza do Maryny. Zdrowemu miód zawżdy na zdrowie, ale broń Boże choremu dać...

— Nie prawcie bzdur, miód zawżdy, czy tak czy owak, na nogi stawia człeka, choćby nawet i dziecko—wtrącił sąsiad.

— Owa! jacyście mądrala, słyszycie co prawi: nic, jedno napitek z nóg króla zwalił, a nas sierotami ostawił.

— Oj, dola nasza dola!—jęknęła Maryna.

— Kto teraz na osieroconej stolicy zasiądzie, kto narodem zarządzać będzie?—zapłakał starzec siedzący obok Dobiesława.

— Obcy, obcy!

— Nie stało piastowiczów — poczęli zawodzić ludzie.—Biada nam! Kajcie się! Dzień sądu przyszedł!

Zdumiał się Dobiesław nad potęgą, mocą tego narodu, kiedy zobaczył pogrzeb królewski w całej jego okazałości, powadze i żałobie. Zdało się, że oczy wypatrzy, a napatrzyć się do syta nie mógł. Co zobaczył poruszyło go i skruszyło w dziwnej zatwardziałości do lachów, ugiął też czoło przed ich mocą i raz wraz powtarzał sobie:

— Zaiste wielki to lud być musi i wielkiego króla mocarza grzebie.

Wdrapał się Dobiesław na wysokie wzgórze, ażeby z jego szczytu przejrzeć bacznie całą procesyę, a nic nie uronić. Właśnie orszak wychodził z potężnego kościoła Panny Maryi.

Na przedzie szły cztery wozy, ciągnione przez cztery olbrzymie konie, pokryte czarnem suknem. Woźnice mieli na sobie żałobne powłóczyste szaty i wyprężać musieli wszystkie siły, aby utrzymać w powolności ogniste, parskające rumaki. Za wozami postępowali zakuci w żelazo rycerze, a siedzieli na koniach, przyodzianych suknem purpurowem. Jesienne słońce przeglądało się w zbroi i dodawało rycerzom blasku. Od chwili do chwili zrywał się wiatr, wtedy trzepotały skrzydłami, jako orłowie, chorągwie z herbami malowanemi przecudnemi kolorami. Chorągwi takich było jedenaście t. j. ile ziem dzierżył pod mocą swoją zmarły król. Dwunasty rycerz niósł chorągiew Królestwa Polskiego.

Szerzej jeszcze otworzył oczy Dobiesław, a inni zaparli dech w piersi. Za chorągwiami postępował na królewskim rumaku rycerz wspaniale okryty szkarłatem.

Oczy napełniły się łzami. Westchnienia i jęki żałosne zagłuszyły rozkołysane dzwony.

Rycerz ten wyobrażał osobę zmarłego króla.

— Za nim parami postępowało paruset ludu ze świecami.

— Na Boga!—zawołał mydlarz, stojący tuż wedle Dobiesława—żywot daję, że każda z tych świec więcej waży, niż pół kamienia.

— Pewno, że waży.

— A cóżto?— odezwała się straganiarka zielenizny. Czemuż tu się dziwować!—nie stać nas na wosk, małoż to pszczółek słoneczko nasze przygrzewa?

— Nie wadźcie się po próżnicy Marcinowo, nikt nie przeczy, że stać. Jedno...

— Jedno chłopy zawdy gęby otwierają jak wół na nowe wrota, tam gdzie trza i tam gdzie nietrza.

— Cichojcie ludzie! Nie wadźcie się stragany! uszanujcie święty dzień, i święty korowód.

— Patrzcie—zawołała oburzona białogłowa. Straganom wydziwia, a sam pod wiechą siedzi i kreski karbuje każdemu, czy wypił, czy nie wypił.

Przesunął się parę kroków Dobiesław, ażeby w skupieniu spozierać na rozwijający się orszak.

Ze światłem kroczyły zgromadzenia zakonne, śpiewając rozdzierające duszę psalmy pokutne.

Wspiął się wyżej Dobiesław, bo zdało mu się, iż poznał między benedyktynami O. Bożywoja. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło, gdyż zaszumiały mu w uszach słowa, które mu często powtarzał i tłumaczył O. Bożywoj:

A potem nawrócą się synowie Litwy i wszystkich innych ziem pogańskich. I wszyscy kochać będą Pana Boga i Chrystusa Syna Jego i Matkę Najświętszą. I będą wszyscy oni lękać się Pana na ostatku dni. I darowane im będą wszystkie grzechy ich, i nieprawości ich i zbrodnie ich.

Zasłonił Dobiesław w przerażeniu wielkiem oczy rękami. Zdało mu się, że w nim coś taje, jako śnieg na wiosnę, a ze spodu ze dna podnosi się brzęk słów ojca zakonnika. Kiedy się upamiętał i obrócił oczy na procesyę, widział znów:

Królewskie mary pełne różnych jedwabnych materyi i sukien.

— Wiedźcie, objaśniał go nieproszony sąsiad, że aksamity te, jedwabie, drogie materye rozdadzą po kościołach.

Nie słuchał Dobiesław sąsiada, bo nadchodzili teraz dworzanie i domownicy nieboszczyka, przybrani w kiry. Płacz ich oraz narzekania przenikał serca. Przed marami szedł człowiek i miotał na stronę, dla ubogiego ludu, grosze. Dar otrzymał każdy, kto rękę wyciągnął z zaleceniem, aby się modlił za duszę króla. Obok miotającego grosze, szli dwaj ludzie z worami pieniędzy, wysypywali je na misy srebrne, skąd brał ów, co miotał grosze. Gdy misy wypróżniono, znowu je napełniano.

— Trza nam ruszać teraz do kościoła! — zawołał kramarz i pchnął przed siebie Dobiesława.

Po nabożeństwie żałobnem, jeden z kapłanów, otoczony sługami królewskiemi obchodził ołtarze z misą srebrną, napełnioną groszami. Ile mógł garścią ująć, brał z misy i kładł na ołtarz.

Przed wielkim ołtarzem większe jeszcze złożono dary, nadto najcelniejsi dworzanie królewscy położyli naczynia, któremi usługiwali królowi. A więc komornik i podskarbi złożyli miednice srebrne, z obrusami i ręcznikami, stolnik z podstolim cztery wielkie srebrne

misy, cześnik z podczaszym naczynia do picia, a szczególniej też puhary srebrne, podkomorzy, ofiarował najdzielniejszego konia ze stajni królewskiej, podkoniuszy, rycerza uzbrojonego w szaty królewskie przybranego, tudzież chorągwie, przez chorążych niesione.

Lud zgromadzony w kościele ogromnym rozpłakał się jękiem, niezmiernie żałośliwe łkania, podnosiły piersi. Nastąpił moment najboleśniejszy! Chorążowie z głuchym, grobowym trzaskiem, poczęli łamać drzewca i rzucać z łoskotem na kamienną posadzkę.

Krzyk rozpaczy wydarł się z piersi ludu. Rozdzierano szaty, głowy poczęto tłuc o mury, krew zmieszana ze łzami rzewnemi, spływała po twarzach.

Wówczas na świętem drzewie stanął biskup krakowski i potężnym głosem począł:

— Dość jęków, dość żalów, dość rozpaczy! Ten co umarł, żyje i wiecznie żyć będzie!

Ludzie zadziwione oczy obrócili na biskupa.

— Czyżby cud Bóg sprawił?—myśleli znękani.

A biskup ciągnął:

— Żyje, kto pod królestwo swoje, rzucił fundamenty z niepożytego kamienia. Żyje, kto naród swój umocnił w dostatkach i zamożności. Żyje, kto murami i wałami otoczył, a częścią przebudował wszystkie zacne miasta tego królestwa. Żyje, kto miał moc dźwignąć swoim ramieniem takie wspaniałe grody jak Olkusz, Będzin, Lelów, Sandomierz, Wiślicę, Szydłów, Radom, Opoczno, Lublin, Kalisz, Konin, Piotrków, Łęczycę, Płock, Lwów. Żyje, kto królestwo nasze dawniejszemi wojnami i innemi klęskami z bogactw i mieszkańców wyniszczone, zaludnił. Żyje, kto całe podgórze Ruskie i Małopolskie zacnemi cechmistrzami rozmaitych kunsztów zapełnił. Żyje, pokolenie z pokolenia, darami jego kwitnąć będzie a wspaniały siejbiarz w sercach oraczów, wiecznie żyć musi...

Wtenczas ocierał łzy zbolałemu ludowi zacny biskup. I pokrzepił serca i wzmocnił roztopione w żalu duchy...

Po pogrzebie zetknął się Dobiesław z gromadką swoją z Odrowąża. Wszyscy stanęli przed dworzyszczem sławnego na cały świat bogacza Wierzynka, który swego czasu podejmował ucztą i obdarzał złotemi podarunkami rycerzów, kniaziów, królów, a nawet cesarzów...

Nadobna Maryna przytuliła się do Stefana z pod Skały, a Jan Okrza wysunął się na przodek, podniósł prawą rękę i powiadał:

— Patrzcie w tym domu Mikołaj Wierzynek, rajca tutejszy, urodzeniem niemiec, za przyzwoleniem Kazimierza, przyjmował królów obiadem. Nie odmówili mu tej łaski monarchowie i nieżałowali fatygi... Wierzynek wedle swej woli miejsca gościom wyznaczał.

Naprzód posadził pana swego Kazimierza, potym cesarza, a dalej zasiedli królowie—węgierski, cypryjski i duński, za niemi zaś dopiero, książęta. Na uczcie tej rozdał Wierzynek, powiadam wam, do sta tysięcy czerwonych złotych królom i książętom...

Dobiesław wraz z innymi słuchał, a jednocześnie rozglądał się dookoła i podziwiał wyniosłe wieżyce kościołów, wielkie murowane kamienice, bogate stroje mieszczan i rycerzów.

Nagle zatrzęsła się w nim dusza, twarz ogniem zapłonęła. Wprost na niego szła gromadka ludzi! Mały Orzeszek-Chwalibóg dreptał koło swej ogromnej niewiasty, za którą ciągnęło żórawiem sześć dorodnych dziewek. Za niemi kroczył potężny w ramionach Krzesław, na którego ramieniu zwieszała się jasnowłosa Hanka...

W piersi Dobiesława zatłukło się serce. Otworzył usta, oczy w słup obrócił, brwi ściągnął.

Obok Hanki posuwał się rycerz naschwał dorodny jakby malowanie, przybrany w aksamitne szaty, spięte złocistemi kneflikami.

— Uciekać! myśl ta jak błyskawica zapaliła się w nim i zgasła. Nie miał nieborak siły podnieść nóg. Stał jako pal wkopany w ziemię bez ruchu, ręce mu opadły, twarz skamieniała, krew krzepła w żyłach.

A tymczasem zbliżała się Hanka. Ta sama Hanka, z którą w puszczy uganiał się za niedźwiedziem, której przy płonących głowniach opowiadał o przewagach Kiejstuta... Ta sama... już słyszy jej głos. Objął wzrokiem twarz dziewki. Twarz blada, wynędzniała, jakby cierpieniem i chorobą znużona. Ścisnęło się serce Dobiesława z żalu.

Hanka przystąpiła już tuż, otarła się o szaty Litwina.

Spojrzeli sobie w oczy.

Dziewka drgnęła.

— Ostrożnie stąpaj, zwrócił się do niej czule Krzesław. Nie zawadzaj nogą o kamienie.

— La Boga rety — niemal że krzyknęła dziewka.

— Co tobie, córuchno? — pytał zatrwożony Krzesław.

— Hanka obróciła oczy, na twarz jej wystąpiły ognie.

Przyskoczył do niej młody rycerz.

— Opadliście z sił. Do kolasy was doprowadzę — ciągnie tuż za nami.

— Nic mi! szepnęła i jeszcze raz spojrzała na Dobiesława, który wpatrywał się w nią bez ruchu, jak w światło niebieskie.

Przydreptał cechmistrz Chwalibóg, chciał o coś pytać Krzesława, nagle przycupnął, zatrzepotał rękami i krzyczeć począł rozgłośnie:

— Zdrajca Litwin tuż przy nas stoi, Krzesławie!... Łapaj kto w Boga wierzy przeniewiercę, odstępcę, mordownika Pułtuska! Łapaj!

Zakotłowało się między ludźmi, jakoby kto w mrowisko kij wetknął. Za Chwalibogiem poczęli krzyczeć inni:

— Łapaj zdrajcę!

Nikt jednak nie wiedział kogo łapać.

Ocknął się Dobiesław. Ale nie ruszał z miejsca. Zmagał się. Czy uciekać, czy oddać się pospólstwu na zniewagę i okrutną śmierć?

Chwalibóg dopadł już Dobiesława, ułapił go za rękę i wrzeszczał:

— Oto go imajcie! Naprowadził on dziką Litwę na Mazowsze, pewnikiem nie bez celu i dzisiaj między nami się kręci.

— Śmierć zdrajcy! wrzasnął tłum.

Dobiesław stał niezmieszany. Pogardliwie obrzucił Chwaliboga i rzekł mu spokojnie:

— Tobie i innym swego czasu wyprosiłem życie... Pamiętasz!... Kto tu zdrajca?

Nad głową Litwina wzniosły się ręce twarde jak kowadła, aby uderzać po czerepie. Wtem Hanka, rzuciła się między tłum a Dobiesława i głosem drżącym rozkazanie dała młodemu rycerzowi, co przy niej stał.

— Zasłońcie go swem ramieniem! Ja tego człeka znam — zawołała do tłumu. — Chwalibóg myli się! Bierze go za Dobiesława, Litwina. Ten człek nie jest Dobiesław. Rzeknijcie Chwalibogu, żeście się opatrznie zmiarkowali!

— Tak jest — potwierdził zgryziony jakby truciznę łykał cechmistrz.

— Widno, pod wiechą żeście za długo siedzieli?—zapytał Chwaliboga barczysty kramarz.

— Tak jest!

— To niech idzie spać kto podpił. Sromotna rzecz larum podnosić w jasny dzień!

— Pospolitaków to sprawa—dodał inny.

Zawiedziony tłum obryzgując szyderstwami cechmistrza, rozpływał się powoli.

Dobiesław skrzyżował ręce na piersiach, hardo podniósł głowę i czekał bez trwogi na zemstę tłumu. Szarpnęła go za rękę Hanka.

— Uchodźcie!..

— Gdzie pójdę, kiedy wszędy mi źle?..

Opanował jednak Litwin gwałtowne wzruszenie i szepnął z wyrzutem:

— Czemuście mnie bronili?.. Czy tak, czy inaczej nikt mi na tej ziemi nie przebaczy tak samo jak ja sobie nigdy nie daruje...

— Nad ziemią tą jest niebo, na niebie Bóg. Proście Go o zmiłowanie...

— Han...ko mo...ja!..

— Już nie wasza — odparła twardo dziewka i obróciła główkę gdzie stał młody rycerz i rzekła—zbliżcie się Floryanie!

— Dobiesławowi powtórzyła mocniej:

— Uchodźcie, przez miły Bóg!..

Nie wrócił Dobiesław z gromadką swą do Odrowąża. Przepadł samotny w lasach.

Przedzierając się przez rozległe, gęste puszcze, kiedy noc zapadała i trzeba było myśleć o odpoczynku, ważył w umyśle litwin ostatnie słowa Hanki:

— Nad ziemią tą jest niebo. Na niebie Bóg. Proście Go o zmiłowanie — powtarzał — i z temi słowami zasypiał. I każdego ranka się upewniał, że trza mu iść na oną wielką górę, na której stoi klasztor wspaniały... Do ojca Bożywoja. A jeżeli i on mnie odepchnie, bo przez co miał by mnie przygarnąć? To obaczę jedno jeden, jedyny raz tylko chatę Bartka Mazura... Może ona w niej jest, gospodarzy?..

Rzucił się na ziemię i jako zwierz dziki wył rozpacznie. Jednak szedł ciągle naprzód na północ. Dotarł aż do Opatowa. Odkąd zobaczył łańcuch gór, było mu lżej na sercu. Po wyjściu ze Słupa padł na kolana i tak czołgał się na klęczkach, aż na wysoką górę. Przed klasztorem stały tłumy ludu. Czołgającemu się jednak pątnikowi, tak dobrze niewiasty jak i mężczyźni usuwali się z drogi i dawali miejsce. Dobiesław zlany potem posuwał się ciągle, aż wreszcie zatrzymał się u miejsca, gdzie stał zakonnik, na podniesieniu. Kaznodzieja przeczytał ewangelję, rozpoczął kazanie. Mówił spokojnie, a dobitnie. Dobiesław pomimowoli podniósł oczy i poznał w mówcy O. Bożywoja. Zdawało mu się, że jasny wzrok zakonnika przenika do głębi jego serce i czyta tajniki żywota. Ocknął się z odrętwienia i pilniej przysłuchiwał kazaniu.

— Augustyn święty — mówił kaznodzieja — ciężko w młodości swojej obraził Boga, tak, że wstręty jedno, a pogardę w około siebie budził. Mierzili się ludzie, kiedy on do nich się zbliżał. Jedna nieszczęsna matka, pozierając na występne życie syna, gorzkiemi zalewała się łzami. Całe lata biedna ta niewiasta pokutę czyniła, posty, modlitwy, ofiary składała na ołtarzu i błagała Boga o nawróce-

nie syna... i zdawało się daremnie, napróżno. Augustyn święty trwał w grzechach nieporuszony, jako te wody, kiedy je mroźne wichry zetną w grube bryły lodów. Wyschły zdroje łez w oczach macierzy, nie miała czem płakać, tak, że po licach jej poczęły spływać wielkie krople serdecznej krwi. Ale i ten widok nie poruszył syna!

Ale ofiary i łzy składane Panu nie giną marnie jako plewy...

Nie traćcie nadziei wy, co się troskacie o występnych, bezbożnych i niewiernych!

Przeróżne drogi Opatrzność Boska sobie wybiera i w rozmaitych naczyniach łaskę miłosierdzia rozdaje. Niema zbójnika, o którego nawróceniu możnaby wątpić. Wiary jedno żarliwej a ofiar mieć trza!

W onym właśnie czasie kiedy broił św. Augustyn, cudownym sposobem zostaje biskupem święty Ambroży, którego dziś święto obchodzimy. Ten, jako pasterz gorliwy, częste miewał nauki. Jednej z tych nauk słuchał Augustyn. Ognista wymowa, słuszne racye jakie przytaczał, podbiły umysł Augustyna. Poruszyło się w nim sumienie, skłoniły przewrotnego do poprawy życia...

Odtąd porzuca występki, odtąd przedmiotem jego miłości staje się Bóg... dla Niego poświęca swoje siły i zdrowie i... staje się wielkim doktorem w kościele!..

Może nie jeden z was, co mnie słucha, odszedł od Boga... zapomniał o Nim... zapomniał o tym Bogu, którego dobroci nauczali go powinowaci, a przedewszystkiem rodziciele... Może najdziemy między sobą występnego... darować mu trza przewinienia i przygarnąć do piersi, jako Chrystus przygarnął łotra, rozpiętego na krzyżu... Zawżdy pamię...

Wrzask piekielny, świsty przeciągłe zgłuszyły słowa O. Bożywoja. Tłumy ruszyły się jakby je kto ukropem zlał. Trwoga okrutna rozdarła powietrze:

— Chrobra Litwa!..

Dobiesław wsłuchany cały w słowa O. Bożywoja, ani zrozumieć mógł zrazu, skąd ten okrzyk trwogi wstaje? Jako człek zbudzony po nocy z głębokiego snu, w którym marzył o niespożytym szczęściu, daremnie silił się wyrozumieć dlaczego tłumy się rozkłębiają. A tymczasem koło niego już trup gęsty padał, rozdzierające jęki drgały. Tuż przy sobie ujrzał wilcze sztyki, barwne kożuchy, dzikie ślepia, podniesione noże, maczugi, siekiery... Zrozumiał! Obudziło się w nim serce bohatera. Nie miał żelaza przy sobie, ani innego oręża. Potężnym uderzeniem pięści zamroczył i obalił kudłatego litwina, wyrwał mu miecz i ugodził w tatara, który nożem godził w O. Bożywoja. Strzały poczęły warczyć. Jedna utkwiła w rękawie zakonnika,

druga zadrasnęła go w policzek. Dobiesław zasłonił wysokością swego ciała kapłana. Zawiązała się walka. Młodzian poczuł moc dawną, rozgorzał.

— Za mury klasztorne trza się nam cofnąć — pomyślał. Zdjął z siebie czarną z długim kołnierzem suknię pokutniczą. Kotłowało się koło niego; tatarzy i litwini nacierali zapalczywie, rozjątrzeni stratami jakie szerzył w ich szeregach. Na pomoc Dobiesławowi przybiegł oddział powężników. Ci w mgnieniu oka spoili swoje powęże, za któremi stali przezpieczni jak za murem. Ruszył na nich huf jazdy litewskiej, lecz przełamać nie mógł. Pod osłoną powężników, cofał się bezpieczniejszy Dobiesław, niosąc prawie na ręku zranionego O. Bożywoja.

Nie miał jednak czasu Dobiesław zebrać koło siebie, klasztornych orężników. Dzicz tuż za nim falą rozlała się szeroko po dworzyszczach, niosąc pożogę i śmierć. Zaczęła się orgja rzezi. Litwa szukała skarbów klasztornych. Z ozdób kosztownych odzierano ołtarze; kielichy złote, monstrancye wysadzane drogiemi kamieniami pękały w rękach zbójeckich. Z trzech stron buchnęły płomienie.

Nie mógł Dobiesław bronić świętych naczyń. Przeniósł okaleczonego O. Bożywoja w bezpieczniejsze miejsce i postanowił bronić kapłana, póki mu sił starczy. Lubo noc zaszła, pożary oświecały miejsce mordu tak silnie, że było widno jako w dzień.

Nagle wśród największej rzezi i rabunku stała się rzecz niepojęta—piszczałki poczęły nawoływać do odwrotu ubroczone krwią hufy litewskie.

— Odsiecz idzie — wnet zmiarkował Dobiesław, gdyż zwyczaje chrobrej Litwy znał dobrze.

Lecz upłynęło jeszcze chwil długich kilka, zanim rozjuszona dzicz, dała się oderwać od łupów. Setnicy kiścieniami spędzać musieli grabicieli i mordowników.

Wreszcie, tłuszcza zginęła w stronie Słupa, pozostawiając trupy i głownie. Wówczas przekonali się w klasztorze, że największą relikwię, drzewo Krzyża Świętego, oprawne bogato w złoto, uniosła z sobą Litwa. Jęknął ojciec Bożywój i szeptać począł:

— Panie Boże miłosierny—niech się dzieje wola Twoja Panie!

Nie odstępował O. Bożywoja Dobiesław, chociaż świtaniem, rycerze ziemi sandomierskiej, biegli w cwał za uchodzącemi hufami litewskiemi.

Na trzeci dzień wielka radość napełniła serca całego ludu polskiego. Na granicznych słupach stanął wóz, na którym złożone było święte drzewo i żadna siła ludzka nie mogła go ruszyć. Kto się

zbliżył do wozu, trupem padał, jakoby strzałą zatrutą w serce ugodzony...

Trwoga padła na Litwę. Odsiecz już tuż, tuż, na karkach jej siedzi.

Kriwowie, sprawiwszy ofiary bogom, oznajmili Lubartowi, że chcąc przerwać choroby, jakie raziły hufy, trza chrześcijańskiego Boga odesłać do klasztoru.

I stało się jak radzili kapłani litewscy.

Święte drzewo, przepojone potem i krwią Tego, co dał żywot za zbawienie ludów, pokazało moc nad zastępami pogaństwa.

Dobiesław nie opuszczał już celi klasztornej. Po spowiedzi i pokucie długiej a ostrej, przywdział sukienkę braciszka.

Po tęgiej zimie wstała różowa wiosna. W cudny majowy ranek, zajechały pod kościół Świętej Trójcy na Łysciu weselne pary. Starostował Krzesław, oracye prawił Rybałt, dreptał koło cechmistrzyni Chwalibóg. Ślub brała Hanka z wnukiem Florjana Szarego, błogosławił O. Bożywój.

Nie stało zacnego Michała z Maciejowic. Pomarł z tęsknoty. Przed śmiercią jednak nie przepomniał majętność swoją całą przekazać Hance, która go swego czasu z topieli wydobyła...

Po latach wielu, dożył Dobiesław pięknego dnia. Szedł w orszaku królowej Jadwigi do rodzonej swojej Litwy, głosić wiarę Chrystusową, stawiać krzyże, budować kościoły...

A jeszcze później na polach Grünwaldu widział plon dojrzały. I zadowoliło się serce pochylonego wiekiem zakonnika. Trud koło umocnienia i postawienia na mocnych nogach ludu litewskiego, poszedł na marne. A nadto, nadto... widział dorodnych synów Hanki, jak pod stopy króla Władysława, rzucali chorągwie Krzyżackie. Zakonnik płakał, lecz mu serce rosło...

KONIEC.

Jasna-Góra.

PIEŚNI LIRNIKA.

Pieśń VII.

Proszę Cię Matko z pokorą,
Ratuj duszę moją chorą,
Z grzechowego dźwignij kału,
Z światowego wyrwij szału!

Jak ja proszę, inni proszą,
Co tę samą krew, kość, noszą,
Odnów z nami to przymierze,
Jak z ojcami w świętej wierze!

O Królowo ziemi, nieba!
Zgody, zgody nam potrzeba;
Serca porusz do miłości,
Odwróć pychę, kłótnie, złości!

Prosimy Cię Matko, Pani!
Twoi słudzy i poddani,
Jeszcze jedną uproś cnotę;
W pracy stałość i ochotę.

Pieśń VIII.

Wiek to wiekowi w pieśni ogłasza:
Na Jasnej Górze, to Matka nasza!
Matko!
Ciebie widziano w pobożnych radzie,
I kierowniczką w domowym ładzie,
Zapalającą serca ołtarze,
Radość niosącą na łzawe twarze.
Tyś była Matko! piersi oddechem,
Wabiącą dziatki nieba uśmiechem,
Szafarką łaski hojną bez miary,
Żądając tylko miłości, wiary,
Ci, co tu łaski Twojej doznali,
O cudach wielkich opowiadali,
Że głusi słyszą, a mówią niemi,
Dzieci tej samej co i my ziemi,
Ślepi i chromi wychodzą zdrowo,
I nam się okaż Matką, Królowo!
Okaż się Matką! Matko Chrystusa,
Gdy nas owładnie ból i pokusa,
Gdy życie zmierzchnie, stanie się nocą,
Okaż się Matką, — racz być pomocą!
(D. n.)

St. Wieniawa.



Historya cudownego obrazu Matki Boskiej Kodeńskiej.

Jan Sapieha dziedzic dóbr kodeńskich po stryjecznym swym bracie Janie Ferdynandzie, był zajęty wojnami w których brał czynny udział.—Był to żołnierz z powołania. Wyrósł i wychował się prawie w wojennej zbroi, na Wołyniu, kraju narażonym na nieprzyjacielskie napady.

Za młodu udał się naprzód do Belgii, potem przez 7 lat służył jako ochotnik w wojsku francuzkiem a 7 lat przesłużył w armii hiszpańskiej.—Wróciwszy do kraju pod koniec panowania Władysława IV, nie odpoczywał długo w pokoju, lecz wysłany został na wypędzenie tatarskich tłumów, z granic Polski. Walczył potem pod Żółtemi Wodami, wysłany przeciwko Kozakom i Tatarom, razem ze Stefanem Potockim, synem Mikołaja, hetmana wielkiego koronnego, Była to bardzo nierówna co do sił i nieszczęśliwa wojna. Potocki zginął w walce, a Sapieha dostał się do niewoli po nadludzkich wysiłkach, jednym tylko pułkiem swoim wytrzymując hord kozaczych i tatarskich ataki.—Wykupiony z niewoli, Sapieha szczęśliwiej bił się pod Beresteczkiem. Gdy znowuż po Żwanieckich traktatach, Tatarzy, niedotrzymując umówionych warunków wtargnęli na Wołyń. Jan Kazimierz król, na poskromienie tej dziczy, wyprawił Jana Sapiehę, który nieszczęśliwie i powtórnie wpadł w ręce nieprzyjaciół. Do Karola króla Szwedzkiego, najeżdżającego kraj pod płaszczykiem protekcyi, przylgnął wprawdzie Jan Sapieha z kwarcianemi chorągiewkami, lecz wkrótce poznawszy dumne zamiary wroga Polski odstąpił króla Karola i bronił walecznie całości ojczyzny i majestatu Jana Kazimierza.

Dobycie Torunia i innych fortec Polski, dały świadectwo Janowi Sapiesze o jego zdolnościach wojennych.—Król Jan III Sobieski wyznawał otwarcie, jak pisze Niesiecki, że wszystkie swoje wiadomości rycerskie, przejął od Jana Sapiehy. Za nim, gdy był w niewoli tatarskiej, nietylko król Jan Kazimierz starał się o jego uwol-

nienie, ale i Aleksander VII papież pisał do króla, aby przyspieszył wydobycie z niewoli Sapiehy, tak dzielnego za wiarę Chrystusową więźnia. Król Kazimierz chciał zasługi Jana Sapiehy buławą po Gąsiewskim uwieńczyć, ale się tą pańską łaską Sapieha długo nie cieszył, gdyż chorując ciężko przez półtora roku, umarł w Żurawnie 1664 roku mając lat 74, — pochowany we Lwowie u O.O. Bernardynów.

Dziedzic ten, kodeński kościół złupiony i zniszczony przez napady barbarzyńców, o ile mógł reparował i odnawiał. Dach kościelny pokrył dachówką a w części blachą. Ofiarował aparata, naczynia kościelne i wota, do cudownego obrazu Matki Boskiej Kodeńskiej.

Jego żona Konstancya Herburtówna sprawiła srebrną sukienkę, wagi przeszło 30 grzywien i bogate, perłami sadzone welum do obrazu Matki Boskiej.

Po pożarze świątyni, pobożny dziedzic Kazimierz Władysław Sapieha, gorliwie i z całem oddaniem się chwale Bożej, począł w dalszym ciągu restaurować kościół. — Dał nowe dachy, nakrył je dachówką a kopuły białą blachą. Po wyrestaurowaniu świątyni, uzyskawszy pozwolenie biskupa łuckiego w Janowie z dnia 21 kwietnia 1682 r., Sapieha postanowił sprowadzić Relikwie św. pozostające dotychczas w podziemiach Wohińskiej cerkwi. Lecz gdy w wilgotnem ukryciu cerkiewnem skrzynie, rzeźbione relikwiarze i trumienki, zawierające szczątki męczenników, po wielu latach ukrycia zgniły i zupełnie zbutwiały, więc Kazimierz Sapieha sprawił nowe trumienki, relikwiarze i sarkofagi, bardzo pięknej roboty, złocone.

Przy nadzwyczajnym napływie pobożnego ludu, zjeździe panów i rycerstwa, oraz przy udziale bardzo licznego duchowieństwa, biskup Stanisław Dębski z Janowa, dopełnił uroczystości podniesienia Relikwii św. i umieszczenia takowych po raz już drugi w Kodniu na właściwych ołtarzach. Od tego czasu, święto Relikwij kodeńskich z odpustem zupełnym, obchodzone było corocznie w kościele kodeńskim, w niedzielę 3-ią po Wielkiejnocy.

W r. 1688 po śmierci sufragana Bedlińskiego, prepozytem kodeńskim został Paweł Franciszek Sapieha, kanonik wileński, rodzony brat Kazimierza wojewody, dziedzica.

Lata młodości przepędził on na naukach we Lwowie, potem w Warszawie. Podróżował zagranicą w celach naukowych,—był we Włoszech, Francyi, Belgii, w Niemczech, a po powrocie do kraju stanąć musiał jako młody żołnierz, pod znakami stryja swego Kazimierza Sapiehy, dowódcy wojsk litewskich. Wsławił się w bitwach

męstwem swojem i wytrwałością w obozowem życiu. Lecz gdy żołnierka krwawa i hałaśliwe jej trudy nie odpowiadały usposobieniu cichego, skupionego i wysoce religijnego ducha Pawła Sapiehy, obrał sobie stan duchowny, tę żołnierkę ducha, która wymaga nierównie jeszcze większego męstwa i wytrwałości do walki duchowej. Został Sapieha kapłanem, potem kanonikiem wileńskim i prepozytem kodeńskim, następnie kanonikiem warszawskim, prałatem kustoszem płockim, scholastykiem sandomierskim, sekretarzem Wielkiego Księstwa Litewskiego. Na prepozyturze w Kodniu, był lat kilkanaście. Miał powszechny przydomek Ojca biednych, bo prawie całe swe mienie oddawał biednym i opatrywał najstaranniej ich potrzeby. Ks. Paweł Sapieha zbudował wspaniały ołtarz Ukrzyżowanego Chrystusa, w lewej kaplicy kościoła i sprowadził z zagranicy bogate aparaty kościelne. Na przedmieściu Kodnia, które nazwał Kampanią, wzniósł piękne mieszkania murowane, na wzór kamedulskich celek, lub kartuzkich domków, otoczone klombami kwiatów, alejami dzikich drzew i ogrodem warzywnym. Mieszkania te nazwał Placencyą, a chociaż były nieco oddalone od kościoła, dawały kapłanom piękne ustronie do pracy i odpoczynku, zwłaszcza w porze letniej.

Po kilkunastu latach pracy parafialnej, ks. Paweł Sapieha zapragnął życia bardziej jeszcze zakonnego.—Więc ustąpił z probostwa, pożegnał miłe swoje kąty, świadki tylu prac swoich kapłańskich, rozstał się z najbliższymi swymi i wstąpił do zakonu Cystersów, przyjąwszy imię Bernarda. Jako uczony, świętobliwy, i odznaczający się głęboką pokorą zakonnik, niedługo pozostawał w liczbie nowicyuszów i braci, lecz za ogólną zgodą ojców i przełożonych, wyniesiony został na zwierzchnika Cystersów i opata paradyskiego, a z tej godności wolą króla i kościoła, pomimo wielkiej niechęci swojej i wypraszania się, mianowany biskupem żmudzkim. Konsekrowany był w Warszawie przez Hieronima Grimaldi, Nuncyusza Apostolskiego, w 1715 r.

Lecz był to już ostatni rok pokutniczego życia i pracy, tego świętobliwego i zakonnej surowości kapłana. Słabość nie pozwalała mu objąć zarządu dyecezyi, a ogólny upadek sił fizycznych sprowadził go do swoich do Kodnia, gdzie miał jeszcze nadzieję, na świeżem powietrzu w Placencyi pokrzepić się na zdrowiu. Leczyć się jednak i wzmacniać na siłach. było już dlań za późno. Choroba, której początki rozwinęły się w murach zakonnych i w życiu nad wyraz surowem, postępowała szybko i wkrótce umarł świętobliwy ten pasterz, zakonnik, ojciec ubogich, w wieku lat 59 opłakiwany przez wszystkich.—Pochowany został w grobach świątyni Kodeńskiej pod wielkim ołtarzem.

Kazimierz Sapieha z synem swoim Janem, przy restauracyi kościoła, poodnawiali stare nagrobki i wznieśli nowe w kształcie marmurowych dużych tablic, ujętych w piękne ramy. Tenże Kazimierz kazał przelać duży dzwon unickiej zamkowej kaplicy, rozbity w czasie napadów nieprzyjaciół na Kodeń. Sprawił wspaniałe wielkie organy, do kościoła parafijalnego; dał nową posadzkę marmurową, w miejsce starej popękanej w czasie pożaru—zaopatrzył zakrystyą w bogate aparaty, sprawił bogatą ambonę. Zbudował za miastem murowaną kaplicę, poświęconą św. Wawrzyńcowi, patronowi od ognia.

Po wyrestaurowaniu zakrystyi i skarbca, sprawił w prezbiteryum bogate, pięknie rzeźbione stalle dla duchowieństwa. Obraz cudowny, zasuwany był innym podobnym obrazem. Z obu stron ołtarza, umieszczone były dwie srebrne blachy. Na jednej z nich, po prawej stronie, wyryta była treściwa historya statuy Matki Boskiej Gwadalupeńskiej, na blasze zaś wiszącej po lewej stronie ołtarza, spisana historya obrazu kopiowanego ze statuy, przez św. Augustyna.

W drugiej kaplicy był ołtarz P. Jezusa Ukrzyżowanego, wzniesiony, jak wyżej wspomniano, przez księdza Pawła Sapiehę. W owym czasie, w tej świątyni było jeszcze 5 ołtarzy wzniesionych przez tegoż wojewodę, ku czci relikwij św. a mianowicie: ołtarz ś. Feliksa papieża, św. Juljana Inocentego Męczennika, św. Hilariona M. św. Antoniusza M. św. Kandydy M., wszystkie bardzo pięknej snycerskiej roboty, złocone.

Na ścianach świątyni zawieszone były kosztowne obrazy, sprowadzone z Włoch, przez tegoż Kazimierza Sapiehę kupione, za sumę kilkunastu tysięcy szkudów. Kardynał Spada, nuncyusz apostolski, wielki amator i znawca sztuk pięknych, nawiedzając bazylikę kodeńską dwa obrazy przedstawiające męczeństwo św. Juljusza i Kandydy cenił na 15,000 dukatów.

Tenże Kazimierz Sapieha z synem swoim Janem Fryderykiem wznieśli wspaniałą wieżę na froncie świątyni, która była zarazem i przedsionkiem kościelnym. W wieży tej umieszczono 3 dzwony i sygnaturkę kościelną.

(D. c. n.)





M. Michaud.

HISTORYA WOJEN KRZYŻOWYCH.

Wyruszenie armii Ryszarda z Ptolemaidy do Jaffy.—Bitwa pod Arsurem.—Pobyt w Jaffie.—Projekt zdobycia Jerozolimy.—Odbudowanie Askalonu.

Upłynęło więcej, niż miesiąc czasu, a warunki kapitulacyi nie były wypełnione przez mieszkańców i garnizon Ptolemaidy. Saladyn nie mógł zdecydować się na oddanie w ręce krzyżowców dwóch tysięcy jeńców, którzy każdej chwili mogliby zwrócić oręż swój przeciwko niemu,—dwustu tysięcy sztuk złota, z góry już przeznaczonych na utrzymanie armii, której on zwyciężyć nie mógł, a wreszcie drzewa Krzyża Świętego, na którego widok w obozie chrześcijańskim budził się święty zapał do walki i wzrastała nienawiść przeciw niewiernym. Sułtan wielokrotnie przyrzekał, że ściśle wypełni te obietnice; chrześcijanie odgrażali mu, że jeśli słowa nie dotrzyma, to wszyscy muzułmanie, jacy są w ich mocy, na śmierć skazani będą. Nie próżne były pogróżki krzyżowców. Wyprowadzono dwa tysiące siedemset saracenów-jeńców na równinę, gdzie nieopodal znajdował się obóz sułtana. Wybór miejsca tego dla dokonania tak okropnej egzekucyi, był do pewnego stopnia, ostatnią przestrogą dla Saladyna. Z rozkazu Ryszarda, wszyscy ci jeńcy muzułmańscy zostali ścięci.

Nie należy jednak winić samego króla Angielskiego, za ten czyn barbarzyński, wyrok bowiem na tych jeńców, wydano na ogólnem zebraniu wodzów armii chrześcijańskiej. Według niektórych kronikarzy, Saladyn podobno także kazał wymordować wszystkich tych jeń-

ców-chrześcijan, którzy mieli być wypuszczeni w zamian za jeńców-muzułman. Zresztą, muzułmanie nie czuli urazy do Ryszarda za śmierć swych braci, ponieważ wielokrotnie błagali sułtana, aby zgodził się na warunki kapitulacyi, a przez to uchronił tysiące dusz od ucisku i niewoli.

Po dokonaniu wyżej opisanych czynów, nastały błogie wywczasy dla armii chrześcijańskiej. Obfitość zapasów żywności i wina cypryjskiego sprawiły, że krzyżowcy zapomnieli o właściwym celu wyprawy swej, do Ziemi Świętej. To też żałowali bardzo, gdy musieli opuścić ten gród rozkoszny.

W dniu oznaczonym, sto tysięcy krzyżowców pod dowództwem króla Ryszarda, przeprawiło się przez pustynię Belusa, udało się wzdłuż wybrzeży zatoki Kaifa, a potem w stronę Cezarei, dokąd przybyli dopiero po sześciu dniach uciążliwej podróży. Zbudowano rydwan, na czterech okutych w żelazo kołach, umieszczono na nim wysoki maszt, do którego przybito sztandar armii krzyżowej; dookoła takiego to wozu układano rannych, a w chwili niebezpieczeństwa, skupiano się. Pochód chrześcijan był, można powiedzieć,—jedną, długotrwałą krwawą bitwą. Narażani oni byli co chwila na ataki nieprzyjacielskie, jednocześnie zwalczać musieli rozmaite przeszkody po drodze, jak naprzykład głód i pragnienie. Armia robiła dziennie około trzech mil; o zmierzchu rozpościerano namioty; nim żołnierze ułożyli się do snu, herold donośnym głosem wołał:

— Panie, dopomóż grobowi Świętemu!

Słowa te wygłaszane były trzykrotnie, poczem cała armia powtarzała je, roniąc łzy i wznosząc ręce do nieba.

Kronikarze wzmiankują o miejscach pobytu armii krzyżowej, podczas licznych jej wypraw wojennych; przedewszystkiem nadmieniają o zamku Kafarnaum, z którego dziś ani śladu nie pozostało; następnie—o wązkiej drożynie pomiędzy skałami, nie wynoszącej więcej nad łokieć szerokości, a długości przeszło pół mili; u wylotu tego ciasnego wąwozu, na płaszczyźnie, wznosi się dzisiaj zamek pielgrzymów, noszący miano Atlik, zbudowany przez Templaryuszów w kilka lat po przeprawieniu się Ryszarda przez te niebezpieczne drogi. Krzyżowcy przechodzili pono także przez rzekę Krokodyla, znaną dziś pod nazwą Nhar-Coukah. Miasto Cezarea, gdzie zatrzymała się armia Ryszarda, było puste, bezludne; lecz mury i baszty jej, przechowały się w całości.

Po przybyciu do Cezarei, krzyżowcom zagrażały bardzo poważne niebezpieczeństwa. Saladyn skupił dokoła siebie całą swą armię, pragnąc co rychlej zemścić się na chrześcijanach, za utratę Ptolemaidy i za ohydną egzekucyę, dokonaną przez nich nad jeńcami-mu-

zułmanami. Dwieście tysięcy Saracenów stanęło pod bronią; zajęli oni okoliczne wzgórza i równiny; do nich należały także wybrzeża rzeki, zwanej dziś Leddar, która przecinała drogę krzyżowcom. Na widok armii muzułmańskiej, Ryszard natychmiast zarządził przygotowania do bitwy. Wojska chrześcijańskie, podzielone zostały na pięć korpusów. Żołnierze tak blizko stali jeden obok drugiego, że, jak się wyraża pewien kronikarz, owoc, rzucony w środek szeregów, nie upadł, aby nie potrącić którego z żołnierzy lub konia. Wydano jak najsurowszy rozkaz, aby nikt z krzyżowców nie ważył ruszyć się z miejsca na wypadek zbliżenia się wojsk nieprzyjacielskich.

Wtem około godziny trzeciej rano, liczny oddział Saracenów, wypadłszy z gór, z błyskawiczną szybkością zaczął się zbliżać w stronę obozu chrześcijańskiego i przy odgłosie bębnów, dzwonków i cymbałów z krzykiem przeraźliwym, rzucił się na tyły armii krzyżowej. Niebawem ukazał się nowy zastęp muzułmanów i armia krzyżowa, w mgnieniu oka ze wszech stron została otoczona. Szpitalnicy, tworzący ariergardę wojsk chrześcijańskich, pod gradem strzał i ciężkich pocisków powstrzymali pierwszy atak nieprzyjacielski; pomimo ponownych ataków ze strony muzułmanów, chrześcijanie ani na chwilę nie stracili równowagi ducha i pozostali na placu boju. Ryszard ponownie wydał rozkaz, aby nie atakować nieprzyjaciela, tylko bronić się, a kiedy zabrzmi sygnał, kiedy ozwie się sześć dużych trąb— dwie na froncie, dwie w środku i dwie w tyle wojska, wtedy dopiero należy uderzyć na wroga całą siłą.

Jednakże znalazło się kilku rycerzy, którzy, nie czekając na sygnał Ryszarda, pomknęli w stronę wojsk nieprzyjacielskich w tem przeświadczeniu, że rycerzowi nie wypada czekać, aż go nieprzyjaciel zaczepi, lecz pierwszy winien bitwę rozpocząć. Za ich przykładem poszły i inne oddziały wojska tak, że niebawem wywiązała się bitwa ogólna. Król Ryszard bił się po bohatersku: gdziekolwiek się zwrócił, wszędzie Turcy ustępować mu musieli, ratując się ucieczką. Pole bitwy ciągnęło się z jednej strony od Arsura do Ramli, z drugiej— od podnóża gór aż do wybrzeża morskiego. Na ziemi leżały podarte sztandary, mnóstwo pik, ułamków mieczy i t. p. Na dwudziestu wozach, mówi pewien świadek naoczny, nie zdołanoby pomieścić wszystkich strzał i pocisków, jakiemi pole bitwy było usiane. Saraceni nie mogli oprzeć się Frankom; żółte chorągwie Saladyna uciekać musiały przed sztandarami Ryszarda.

Chrześcijanie, sądząc, że odnieśli zupełne zwycięztwo, nie ścigali Saracenów, lecz zajęli się rannymi i zbieraniem pozostawionego przez nieprzyjaciół łupu. Wtem dwadzieścia tysięcy Saracenów ponownie zajęło plac bitwy. Krzyżowcy nie spodziewali się tego.



Starożytna twierdza w Jerozolimie, od strony doliny Hinon.

Osłabli ze zmęczenia i upału, już z przerażeniem zaczęli uciekać, gdy spostrzegł to król Ryszard i zagrzał ich na nowo do bitwy. Turcy wkrótce zaczęli padać pod mieczem Ryszarda, jak kłosy pod kosą żniwiarza.—W chwili, kiedy zwycięzcy Chrześcijanie, mieli już wyruszyć w stronę Arzura, Saraceni, pod wpływem rozpaczy, po raz ostatni uderzyli na nich z tyłu. Ryszard, który już dwa razy zmusił do ucieczki nieprzyjaciela, tym razem, w otoczeniu zaledwie kilkunastu rycerzy, zapuścił się w sam środek jego armii z okrzykiem na ustach:

— Boże, dopomóż grobowi świętemu!

Zaraz przy pierwszym ataku, muzułmanie cofać się poczęli. Armia ich, trzy razy pobita, z pewnością byłaby wycięta co do jednego żołnierza, gdyby nie las Arsurski, w którym się ukryć zdołała. Ze strony muzułmanów, poległo na polu bitwy przeszło osiem tysięcy żołnierzy i trzydziestu dwóch emirów; straty chrześcijan, wynosiły tysiąc żołnierzy zabitych, śród których, niestety, znaleziono także ciało znakomitego rycerza Jakóba Andegaweńskiego, pokryte ranami. Tuż obok niego leżały zwłoki jego rodziców i towarzyszów. Nieustraszony Andegaweńczyk, który, pomimo odniesionych ciężkich ran, w rękę i nogę, bił się jeszcze zapamiętale, umierając, zawołał:

— Ryszardzie, odemścij śmierć moją!

Ciało jego, z uroczystością wielką, pogrzebano w kościele Maryi Panny w Arsurze.

W żadnym roczniku z czasów starożytnych i wieków średnich, niema opisu podobnej bitwy, jaka rozegrała się pod Arsurem; brali bowiem w niej udział, najwaleczniejsi rycerze Europy i Azyi; wybrzeża rzeki Leddar, na których dziś widywać można jedynie ciemne namioty Beduinów, lub słyszeć bojaźliwe kroki pielgrzyma, udającego się do grobu świętego, wówczas były świadkami czynów bohaterskich, jakich napróżno szukalibyśmy w słynnych bitwach starożytności. Historycy współcześni, z zachwytem opowiadają o męstwie i odwadze Ryszarda. W jednym liście król angielski donosi, że otrzymał lekką ranę w bok lewy. Bitwa ta mogłaby była decydować o ostatecznym losie wyprawy krzyżowej, gdyby Saladyn zwyciężył; sprawa kościoła w Syryi upadłaby była, raz na zawsze.

Frankowie jednak nie umieli skorzystać z tego tryumfu. Gdyby byli ścigali rozbite wojska Saladyna, mogliby byli uwolnić Syryę i Egipt z pod jarzma muzułmańskiego. Nie uczynili tego.

Żołnierze saraceńscy, pod wpływem grozy klęski pod Ptolemaidą, nie mieli wielkiej ochoty ukrywać się, w murach miasta. Saladyn kazał burzyć wszystkie miasta i zamki, których nie mógł obronić. Wobec tego, kiedy krzyżowcy przybyli do Jaffy, to zastali tam

tylko gruzy i zgliszcza. Niektórzy z wodzów chrześcijańskich byli zdania, że teraz, po pełnem tryumfów zwycięztwie pod Arsur, trzeba koniecznie wyruszyć na zdobycie Jerozolimy; inni znów twierdzili, że pierwej należy odbudować twierdze zniszczone. Zwolennikiem pierwszych był wódz Burgundczyków, drugich—Ryszard. Różnica zdań, głównie wypływała z wzajemnej nieufności i rywalizacyi obu wodzów. Głos anglików przeważył, przyjęto plan Ryszarda. A więc przedewszystkiem zajęto się odbudową Jaffy. Wkrótce przybyła królowa Sycylii, Berengara, wdowa po Wilhelmie, a córka cesarza bizantyjskiego Izaaka, i połączyła wojska swe z armią króla Anglii.

Chrześcijanie, przybywszy do Jaffy, rozpostarli namioty swe śród przepysznych parków i ogrodów; urodzajna jesień, wszystkie bogactwa swe złożyła u stóp krzyżowców.

Podczas pobytu armii krzyżowej w Jaffie, Ryszard o mało że nie dostał się w ręce muzułmanów.

Było to tak. W pewnej wiosce Sarońskiej urządzono polowanie. Ryszard znużony położył się pod drzewem i zasnął. Wtem zbudził go przeraźliwy krzyk towarzyszów, którzy ujrzeli, pędzący wprost na nich oddział Saracenów. Ryszard czemprędzej dosiadł konia i gotował się do bitwy; niebawem jednak nieprzyjaciele otoczyli go i obezwładnili. Już chciano go pojmać, gdy jeden z krzyżowców zawołał po muzułmańsku:

— Jam jest król! Ocalcie mi życie!

Szlachetny ten wojak wybawił Ryszarda, lecz sam został jeńcem muzułmanów.

Król, odzyskawszy wolność, udał się do miasta Joppe, gdzie armia niepewna, co się z nim stać mogło, oczekiwała przybycia jego z wielkim niepokojem.

Wilhelma Pratellesa (takie imię nosił zbawca Ryszarda) odesłano do więzienia w Damaszku. Ryszard, ceniąc szlachetność swego własnego sługi, dał słowo Saladynowi, że jeżeli ten wypuści Wilhelma z niewoli, to on wzamian za to uwolni dziesięciu emirów. Życzeniu temu stało się zadość.

Armia chrześcijańska wyruszyła z Jaffy; koło Wszystkich Swiętych, była w pobliżu zamków Plans i Maë. Obie strony, jak Saraceni, tak i krzyżowcy, nie żądne były nowego krwi rozlewu. To też, obiegając spustoszone miejscowości, pierwsi burzyli miasta, które dotąd ocalały, drudzy zaś odbudowywali je. I na tem czas upływał. Jednakże kiedy niekiedy wydarzały się poważniejsze czyny wojenne, przydające blasku i sławy armii krzyżowej. Spotkanie się obu, wza-

jemnie nieprzyjaznych sobie wojsk w Lyddzie, Ramli i Askalonie, za każdym razem zakończyło się tryumfem dla Ryszarda.

W owym czasie wódz Burgundczyków a także Francuzów, których był zwierzchnikiem, po wyjeździe króla Filipa, zawistnem okiem spoglądać zaczął na Ryszarda i niechętnie poddawał się jego rozkazom. Konrad, markiz z Tyru, czując urazę do Ryszarda, ośmielił się nawet ofiarować usługi swe muzułmanom, aby wraz z nimi wypowiedzieć mu walkę. Król angielski, ze swej strony zwrócił się do Saladyna, przypominając mu o obietnicy, jaką dał bratu jego, Malek-Adelowi: że każdej chwili gotów jest powrócić do Europy, jeśli Jerozolima i drzewo Krzyża Świętego oddane zostaną chrześcijanom. Zrobił także i inne propozycye Saladynowi, wbrew życzeniom armii krzyżowej: ażeby, naprzykład, Joanna, wdowa po Wilhelmie, królu Sycylijskim, została żoną Malek-Adela; oboje oni, pod protektoratem Saladyna i Ryszarda, mieli rządzić muzułmanami i chrześcijanami, a stolicą ich miała być Jerozolima. Projekt ten narobił dużo wrzawy, zarówno śród dostojników kościoła katolickiego, jako też i śród mahometan.

Saladyn godził się na żądanie Ryszarda, biskupi jednak katoliccy oparli się.

Ryszard, gniewny, że zaczęto go posądzać o chęć przyjęcia wiary muzułmańskiej i że traci zaufanie wśród krzyżowców, kazał ściąć wszystkich jeńców muzułmanów, jakich miał u siebie, i ogłosił natychmiastowy pochód pod mury Jerozolimy.

Tymczasem, deszcze zimowe zaczęły bardzo dokuczać krzyżowcom.

Mnóstwo koni i bydła wyzdychało z zimna i głodu; większość krzyżowców, skarżyła się na niewygody. Jedynie nadzieja prędkiego ujrzenia Jerozolimy, podtrzymywała ich na duchu i dodawała otuchy. W tymże czasie, Saladyn, zajęty był sypaniem nowych szańców dokoła Jerozolimy; mury i baszty wzmacniano.

Jednocześnie jazda muzułmańska strzegła dróg, wiodących do bram grodu świętego.

W armii krzyżowej znalazło się kilka głosów, przeciwnych temu projektowi—szturmowania śród zimy Jerozolimy, większość jednak rwała się do oblężenia. Kiedy wodzowie radzili, pójść pierwej odbudować zburzony przez Saladyna Askalon, głębokie przygnębienie i zniechęcenie, odmalowało się na twarzach chrześcijan; tłumy wiernych, które tyle już zniosły cierpień, byleby tylko dostać się do Jerozolimy, zaczęły teraz szemrać i buntować się; gorzkie wyrzuty czyniono wodzom, a szczególniej Ryszardowi. Wódz Burgundczyków

i Francuzów, porzucił chorągwie Ryszarda, dopiero zaklęty w imię Chrystusa, powrócił do obozu.

W Askalonie krzyżowcy zastali kupę gruzów. Zabrano się do odbudowania miasta. Ryszard uwijał się skrzętnie; wszędzie go było pełno; zachęcał do pośpiechu; sam nosił piasek, glinę i kamienie.

I wtedy jednak nie obeszło się bez szemrania, gdyż duch niezgody zakradł się i w szeregi armii.

Leopold Austryacki, któremu czyniono wyrzuty, że próżnuje wraz ze swoimi niemcami, odpowiedział Ryszardowi, że nie był on nigdy ani cieślą, ani mularzem. Wielu rycerzy odzywało się hardo, że nie po to tu przyszli, żeby odbudowywać Askalon, lecz żeby zdobyć Jerozolimę. Wódz Burgundczyków porzucił ostatecznie armię. Na dobitek złego, król angielski i markiz z Tyru poróżnili się między sobą; obelgi i pogróżki uniemożliwiały pojednanie. Nastały święta Wielkanocne roku 1192. Armia chrześcijańska, przepędziła dni te uroczyste na równinie askalońskiej; podczas ceremonii kościelnych, kiedy rozpamiętywano mękę, śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa, wielu krzyżowców zaczęło czynić gorzkie wymówki Ryszardowi, że nie powinien był przerywać pochodu pod mury Jerozolimy.

(d. c. n.).



Nasze dawne świątynie i klasztory.

Ukończywszy wstęp do Historyi starożytnego kościoła Ś-go Mikołaja na Starej wsi, pragnąłbym posunąć się niemal o dwa wieki naprzód, czyli do drugiej połowy XIII wieku. W tym okresie czasu, nie znajdujemy żadnych ważniejszych faktów, któreby się dotyczyły naszego przedmiotu.

Pomińmy zatem Piotra Dunina (Piotr Wlast), [1]) syna Włodzimierza, pana na Skrzynnie i Książu, wojewodę Kaliskiego i Kruświckiego, później Wrocławskiego i Namiestnika Króla na Śląsku. Pomińmy tego historycznego, zasłużonego i powszechnie cenionego męża, który wyrósł i zamienił się w jakąś bajeczną i rozpromienioną postać w zaćmionej wyobraźni wdzięcznego ludu śląskiego, opiewającego pamięć jego w różnych legendach.

Bolesław III Krzywousty obdarzył męża tego wielkiemi łaskami, darując mu bogate skarby, które Piotr Włostek użył na cele dobroczynne, budując zamki obronne, klasztory i kościoły tak na Śląsku jak i w Małopolsce, a liczba kościołów zbudowanych przez niego wynosi 77.

Włostek zaskarbił sobie łaski i przyjaźń Władysława II, męża słabego charakteru, — lecz — niestety — przez jedno niebacznie wyrzeczone słowo przed nim, na jego małżonkę Adelajdę, krewniaczkę cesarza niemieckiego, dumną lecz mściwą niemkinię, nie lubiącą polaków,—został przez nią do więzienia wtrącony i tam ten wielki, zacny mąż, został przez jej pachołków poddany mękom cielesnym: wyrwano mu język i wyłupiono oczy. Rok 1153.

Pomińmy przymierze, zawarte pomiędzy królem węgierskim Belą IV, Danielem Halickim, Bolesławem V i Władysławem Raciborskim przeciw Otokarowi Księciu na Morawach i przejście wojsk

---

[1]) Właśc. — Włostek. „Z Niwy Śląskiej, poezye księdza Damrotha (pseud. Czesława Lubińskiego.)."

Halickich i Włodzimierskich przez Racibórz na Morawy i na ziemię Opawską 1253 r.

Pomińmy napad oddziału Mongołów na Racibórz, w roku 1241 doszczętnie przez mieszkańców miasta zniesiony, w którym to napadzie, młody, bo zaledwie 25-letni, dzielny i odważny rycerz, książę Mieczysław II, [1]) brat Władysława, za jednym zamachem odrąbał dowódzcy Mongołów głowę, prawdopodobnie Kejdanowi, bo tenże Kejdan, jako jeden ze znanych nam, 3-ch głównych wodzów Mongolskich, oprócz Batu-Chana i Pety zabitego przez Sternberga pod Ołomuńcem, do ojczyzny swojej nie powrócił.

Ks. Augustyn Weltzel, proboszcz Tworkowski, autor mozolnej pracy dzieła: „Geschichte der Stadt und Herrschaft Ratibor" cytuje: iż Mieczysław II wspólnie z Bolesławem Sandomierskim, po rozpaczliwej i bezskutecznej walce z Mongołami pod Opolem, poprowadził swoje wojska na Lignicę (1241), lecz i tam przed przeważającą siłą Mongolską, ustąpić był zmuszony.

Osłabieni Mongołowie, chcieli zrazu z pod Lignicy przedostać się na ziemię Czeską, lecz z przyczyny, iż król Wacław Czeski, stojący ze swoim wojskiem pomocniczem w pasie granicznym hrabstwa Glatz, a który dopiero w dniu następnym miał Mongołów zaatakować—zmienili kierunek odwrotu i skierowali się przez Odmuchów (Ottmuchau), na Racibórz, gdzie pod miastem zaciętą walkę z mieszczanami Raciborskiemi stoczyli. Z Raciborza, (w początkach Maja) skierowali swój pochód na Opawę, a ztamtąd przez Benisz i Freudenthal na Morawę, którą doszczętnie zniszczyli. Ołomuniec ocalił Jarosław Sternberg, naczelny wódz wojsk Czeskich. W końcu czerwca, dzicz ta opuściła Morawę, przeszła na Węgry i złączyła się z główną armiją Batu-Chana.

Jak już wyżej wzmiankowaliśmy, Mongołowie, zostali przez mieszczan Raciborskich na głowę pobici.

Zdobyte trofea, jak np. krzywe szable, chorągwie z ogonów końskich, siodła, strzemiona i inne dziwne jakieś przedmioty, przechowują się po dzień dzisiejszy, z wielką pieczołowitością w skarbcu byłej Kolegiaty Raciborskiej, lecz prócz tych zdobyczy pamiątkowych, przechowuje się jeszcze historyczna opowieść, którą potwierdza po

---

[1]) Książę Mieczysław II miał za żonę Judytę, córkę Konrada I Mazowieckiego, która po śmierci męża wyszła za Henryka III Księcia na Wrocławiu. Mieczysław zmarł w młodym wieku, mając lat zaledwie 30. Przyczynę śmierci przypisują spadnięciu z konia pod Krakowem, dokąd na jakąś uroczystość jechał. Panował lat 8 † 1246.

dzień dzisiejszy widoczna głowa Mongolskiego wodza, wykuta z kamienia i wmurowana w wewnętrzną ścianę zamku Raciborskiego.

Młody Mieczysław II, książę Opolski i Raciborski, dowiedziawszy się, że Tatarzy z pod Lignicy zawracają przez Górny Śląsk na Morawę, uprzedziwszy ich, zamknął się w murach zamku Raciborskiego.

Pałając nieokreśloną żądzą zemsty ku dzikiej hordzie, pod której ciosem padł Henryk Pobożny i Poppo, wielki mistrz Krzyżacki, [1]) a których głowy zatknięto na drzewcach i obnoszono po obozie, jako tryumf zwycięstwa. Książę, z wieży zamkowej wyglądał z niecierpliwością, przybycia dzikich i nieproszonych gości.

Pewnego poranku, w pierwszych dniach maja, dostrzegł nasz książę niezwykły ruch: Oto horda tatarska, z rzecznych przyczułków wznosi na Odrze mosty — a po nich przebija się na łąki podmiejskie, wysyłając pierwsze szeregi na mury do szturmu, który mieszczanie z walecznością odparli.

Książę z wieży zamkowej obserwuje i widzi jak mieszczanie otwierają bramy miasta i zwartemi szeregami, z podniesionemi toporami i mieczami, ufni swym siłom i z Bogiem w sercu, pędzą w środek dzikiej hordy; — widzi, jak krew dzielnych mieszczan strumieniem płynie; — widzi jak wódz naczelny, krwiożerczy Kejdan kieruje całą tą niesłychaną rzezią.

Krew rycerska zawrzała w jego żyłach. W zbroi i z mieczem w ręku, dosiada swego rumaka i wprawną rycerską ręką kieruje go przez most na łąki, w miejsce, gdzie krwiożerczy wódz wydaje swoje rozkazy.

I stanął nasz rycerz przed dzikim wodzem oko w oko — i nim dziki umysł wodza Mongolskiego, zdołał objąć swe niespodziewane spotkanie, już głowa jego leżała pod nogami książęcego rumaka.

Książę rycerz nie nadział głowy na tyczkę, jak nadziano pod Lignicą głowę Henryka Pobożnego, lecz ująwszy ją za włosy własną ręką, pocwałował na zamek i zagwoździł ją do lica muru zamkowego na wieczną pamiątkę, gdzie po dzień dzisiejszy, znajduje się podobizna wykuta z kamienia...

Drugie najście Tatarów na Racibórz, miało miejsce dnia 16 stycznia 1290 r., w dzień Ś-go Marcelego, jak wspomina przywilej Przemysława I, w którym obdarowywa mieszczan Raciborskich za ich waleczność, szczególnemi prawami. W dniu tym, w czasie krwawej utarczki ukazał się na niebie ognisty słup, który jasnością swoją oślepił hordę tatarską i zmusił ją do haniebnej ucieczki z pola walki.

---

[1]) Poppo von Osterna, hrabia v. Wertheim, 9-ty mistrz krzyżacki.

Raciborzanie zaś dostrzegli w tym słupie ognistym postać św. Marcelego z maczugą w ręku, którą nielitościwie karząc Mongołów, raz na zawsze wypędził ich z ziemi Raciborskiej. Od tego też czasu, Raciborzanie czując szczególne nabożeństwo do Ś-go Marcelego, obrali go sobie za św. patrona miasta. [1])

Rok 1290 był tym rokiem historycznym, w którym Tatarzy z ziem polskich 21,000 dziewic do brzydkiej niewoli swojej zabrali.

Gdyśmy powyższe trzy ważniejsze fakta historyczne z dziedziny Księstwa Raciborskiego w krótkości czytelnikom naszym przedstawili, należy nam przejść do czasów panowania Henryka IV, księcia na Wrocławiu i Tomasza II, herbu Nałęcz z Czarnkowa, 25-go z rzędu biskupa dyecezyi Wrocławskiej [2]) i przystąpić do dalszego opisu o kościołku naszym Ś-go Mikołaja na Starej wsi, pod Raciborzem.

Henryk IV dostał przydomek łaciński: „probus“; Polacy nazwali go: szczodrym, łaskawym, marzycielem.

Henryk IV pan możny, dumny, ambitny, zaś Tomasz II, kapłan biskup, mąż bogobojny, cichy i pokornego serca. Ziarno niezgody padło pomiędzy te dwie, na wysokich stanowiskach osoby. Jeden w koronie dzierżył berło władzy, — drugi w mitrze dzierżył Ewangelję świętą i Krzyż Zbawiciela.

Henryk potrzebował skarbów pieniężnych. A chociaż rodzic jego Henryk III pozostawił mu wielkie bogactwa, nie wystarczyły

---

[1]) Kronika Marcina Bielskiego, Tom XII, str. 137 wspomina, że przez modlitwę niejakiego Czesława, mnicha, przeora O.O. Dominikanów, miał się słup ognisty ukazać na niebie, który jasnością swoją wystraszył Tatarów z ich obozu i podaje rok nie 1290, jak przywilej Przemysława cytuje, lecz 1241.

[2]) Tomasz II był siostrzeńcem Tomasza I, 24-go z rzędu biskupa Wrocławskiego, herbu Koźlerogi (przemieniony na herb Jelita). Dziwnym zbiegiem okoliczności, Tomasz I, już jako starzec był w tenże sam sposób przez Bolesława Łysego, Księcia Lignickiego, prześladowany, do więzienia wtrącony i dotąd w niewoli trzymany, dopóki nie wymęczył na nim to, czego pragnął. Wyszedłszy znękany z więzienia zmarł 1267. Po nim katedrę Wrocławską objął Tomasz II.

Należy nam przytem sprostować twierdzenie Weltzla, jakoby Tomasz II był herbu Zaremba; atoli ani jeden ani drugi do Zarembów nie należał. W spisie biskupów Wrocławskich znajdujemy Magnusa Zarembę, jako 14-go biskupa na katedrze, który umarł w roku 1146.

(*Długosz, Niesiecki, Bartoszewicz*).

one jednak, do osiągnięcia zamierzonego celu; chciał bowiem przez skarby, dojść do potęgi i świetności. W tym celu wykupywał ziemie śląskie zastawione Niemcom, jakoż i wykupił ziemię Krośnieńską, z przyległościami. Następnie chcąc sobie zapewnić przychylność i pomoc wszystkich Niemców, żyjących nietylko we Wrocławiu, lecz nawet w dalszych krainach Polski osiadłych, obdarzał ich swojem wyłącznem zaufaniem i przywilejami, jak np. Wrocławian, przywilejem wolnego handlu i t. p. Tym to przywilejom i łaskom winien on był sławę swojej dobroci. Jak dalece zaś ta dobrotliwość ściągała się jedynie do Niemców, przekonywa nas o tem trzeci środek, jakim Henryk rozszerzał swoją władzę. Środek ten dotyczył Polaków i pokrewnych książąt z rodziny Piastów. Było nim proste zastosowanie do swoich ziomków prawa pięści, które Henryk przejął od Niemców. Znakomite to było prawo. Prawa tego doświadczył na sobie sam Henryk, po wykupieniu Krosna od zazdroszczącego mu ziemi Krośnieńskiej, Bolesława Rogatki, który pojmał Henryka i do okupienia się częścią grodów, przymusił.

Pomimo smutnego doświadczenia na sobie tego prawa, Henryk użył go względem trzech odrazu książąt: Przemysława pogrobowca Wielkopolskiego i dwóch jego braci stryjecznych: Henryka na Lignicy i Henryka na Głogowie. Zaprosiwszy ich uprzejmie na poufny zjazd do Barycza, wszystkich tamże znienacka pojmał i tak długo ich we Wrocławiu więził, dopóki mu Przemysław ziemi Wieluńskiej nie odstąpił, a bracia stryjeczni nie złożyli wysokiego okupu.

Takim to zdradzieckim sposobem uzyskał Henryk ziemię Kaliską; lecz ziemia ta niebawem z rąk mu się wyśliznęła i Henryk był zmuszony, wysoką summą pieniężną straty wojenne powetować.

Otóż rozpoczęła się walka pomiędzy Henrykiem, a biskupem Tomaszem II, w której to walce kościołek Ś-go Mikołaja na Starej wsi pod Raciborzem był widownią ważnego zdarzenia historycznego.

Henrykowi przyszło na myśl powetować straty jakie poniósł przez wojnę Kaliską, złupieniem biskupa Wrocławskiego Tomasza II.

Zagrabił mu najprzód należytość za dziesięcinę, następnie nałożył na niego kontrybucyę pieniężną,—dalej zajął mu kilka głównych włości, a wreszcie samego biskupa z całem duchowieństwem świeckiem wygnał z ziemi Wrocławskiej i wszystkie dobra kościelne swojemi osadził włódarzami.

Pokrzywdzony biskup szukał sprawiedliwości u papieża w Ludgunie, ale jej tam nie znalazł. Niesiecki (Tom I, str. 355) cytuje, iż Henryk tamże niewinnego biskupa, żalącego się na gwałt oczywisty, różnemi potwarzami obsypał, tak, aż uszy zamknąć trzeba było. Znalazł się tylko jeden mąż w osobie Jakóba Świnki, arcybiskupa Gnie-

źnieńskiego, który zebrawszy Synod w Łęczycy, na Henryka klątwę rzucił. Lecz pieniądze książęce przekupiły dwór papieski i wnet klątwę z niego zdjęto.

W roku 1282 gwałtowność i nienawiść Henryka do biskupa Tomasza, jeszcze bardziej się spotęgowała. Biskup we Wrocławiu dłużej pozostać nie mógł i w połowie maja 1283 roku przeniósł się do swojego grodu biskupiego, Odmuchowa (Ottmuchau). Lecz i tam mściwa ręka Henryka, biskupa dosięgła. Henryk bowiem stawił biskupa pod sąd świecko-szlachecki, żądając zwrotu różnych dóbr i miejscowości.

Dnia 30 lipca 1284 roku, biskup Tomasz II rzucił klątwę na Henryka, którą wszyscy biskupi dyecezyi Gnieźnieńskiej na Synodzie Łęczyckim potwierdzili i do wiadomości ogółu podali. Książę apelował do Rzymu, lecz swoich dalszych gwałtownych prześladowań nie zaniechał.

Nastały święta Wielkanocne 1285 r.

Biskup Tomasz nie ważył się powrócić do katedry Wrocławskiej, tylko udał się do Opola i tam w Wielki Czwartek w Kolegiacie, udzielił młodym alumnom święceń kapłańskich. Potem konsekrował kilka świątyń na Górnym Śląsku, a następnie zamieszkał w Raciborzu, jako w miejscu bezpieczniejszem.

W tym czasie Henryk IV zagarnął dnia 16-go kwietnia gród Odmuchów i obległ Edelstein, które były własnością biskupa. Dowiedziawszy się o tem Tomasz, wysłał do księcia posłów: archidyakona Stefana z Lignicy, w towarzystwie proboszcza Rudolfa z Koziej Szyi (Ziegenhals) i Bogusława z Zakrzewa Sakrau, polecając im skłonić księcia Wrocławskiego do opuszczenia Odmuchowa i odstąpienia od Edelsteinu, do dnia 25-go kwietnia. Jednocześnie zwrócił się listownie do Kazimierza księcia Bytomskiego, Mikołaja Opawskiego i Ottokara księcia Czeskiego, z prośbą o pośrednictwo i pomoc.

Zabiegi nie odniosły żadnego skutku i biskup naglony ostatecznością, rzucił powtórnie klątwę na księcia, zawiadamiając o tem zajściu Rzym. Klątwa ta została wygłoszoną w Raciborzu dnia 27 kwietnia 1285 r. jednocześnie w kościele parafjalnym i w klasztorze OO. Dominikanów, następnie zaś przez Dyecezyę zatwierdzoną. W rok później z powodu niepoprawy księcia, klątwa ta została we wrześniu 1286 r. powtórzona.

Książę pomiędzy klerem miał również swoich zwolenników. Byli to Minoryci prowincyi Saskiej, którzy, ze względu na niesympatyczną dla nich narodowość polską, do której biskup Tomasz należał, starali się wygłoszony interdykt na księcia, zniweczyć. Z tej to przyczyny odprawiali Msze święte, w obecności wyklętego Henryka,

który gwałtem zmuszał kapłanów do odprawiania nabożeństw, a tych, którzy się temu sprzeciwiali — z kraju wyganiał.

Wreszcie przybyli do Raciborza pośrednicy pokoju.

Ze strony biskupa przybyło kilku opatów; ze strony księcia, przybyli jako delegaci kasztelanowie: Opolski i Strzelecki.

Dnia 3-go marca 1287 r. przybył do Raciborza nawet książę Bolesław Opolski, w celu zwołania zjazdu, umówienia warunków pokoju i zakończenia tej niebywałej w świecie niezgody pomiędzy biskupem, a księciem.

Zjazd zwołano do Opola na dzień 1 kwietnia 1287 r. Obradowano tamże w obecności wielu zebranych dygnitarzy, tak świeckich jako też i kościelnych,—lecz niestety—do ugody nie przyszło. Pogwałciciel, warunków pojednawczych nie przyjął, własności kościelnych nie zwrócił, wygnanych z kraju kapłanów nie odwołał. Nie koniec na tem: Książę Henryk Wrocławski w gruzy zamienił pałac biskupi Odmuchów a dnia 18-go kwietnia nalegał na Mieczysława [1]) księcia Raciborskiego, ażeby biskup w najkrótszym czasie opuścił granice jego państwa, grożąc mu w przeciwnym razie wojną.

Od połowy lipca do początku sierpnia, spotykamy biskupa Tomasza w Krakowie. W tym to czasie książę Lignicki przesłał zawiadomienie biskupowi, że chce brać udział w pośrednictwie pokojowem, naznaczając dzień 17 sierpnia i miejsce zjazdu w Raciborzu, zostawiając ostateczne potwierdzenie tegoż zjazdu arcybiskupowi Gnieźnieńskiemu. Henryk jednakże nie czekał na rozpoczęcie się obrad, lecz obległ wojskiem swojem Racibórz, w którym już przebywał Tomasz.

Książę rozbił swój namiot tuż pod kościołem Ś-go Mikołaja, przy drodze prowadzącej do Głupczyc, w miejscu, gdzie po dzień dzisiejszy stoi kolumna murowana, 8-mio kątna, z przykrytym daszkiem, pod którym widzimy dwie figurki: jedna z koroną na głowie przedstawiająca księcia Henryka IV Wrocławskiego, druga zaś w szacie biskupiej, przedstawiająca Tomasza II. [2])

---

[1]) Od roku 1283 do 1290 Przemysław wraz z bratem Mieczysławem rządzili wspólnie państwem Raciborskiem; zaś od roku 1291 — 1306 Przemysław sam rządził.

[2]) Kolumna ta ma 21 stóp wysokości. Dawniej stał w tym miejscu kościołek, zbudowany na pamiątkę spotkania i pojednania tych 2-ch wielce nienawidzących się osób.

(D. n.).

Marcin Kopiec.

Wspomnienia z dziejów ojczystych.

Z pod słomianej strzechy.

VII.

Książę Poniatowski, jeszcze nie ze wszystkiem uporał się z Austryakami i zapotrzebował nieco wojska z Warszawy i Mokotowa, gdzie nadciągnięte pułki stały obozem wraz z jenerałem Zajączkiem. Szedł bowiem na Sandomierz, aby i ztamtąd wyparować najeźdzców. Tymczasem dnia 3 maja we wszystkich kościołach warszawskich odśpiewano hymn łaciński: „Te Deum laudamus“ (Ciebie Boga chwalimy), jako należny śpiew wdzięczności, za widoczną Nieba nad nami opiekę. Wieczorem miasto całe było oświetlone.

Na trzeci dzień majster Wąsowski poszedł ze swą pasierbicą odwiedzić naszego wojaczka w obozie, który, jak się to rzekło, był rozłożony w Mokotowie—przedmieściu Warszawy. Mało tam co dawnego widzieli żołnierza, nowozaciężnego najwięcej; lecz we wszystkich był duch jeden, żądza ścigania nieprzyjaciela i potykania się z nim, przekonanie o swej odwadze, o pewnem powodzeniu, wesołość, między sobą zgoda, dla oficerów uszanowanie z niejakąś poufałością i przyjaźnią złączone, — bez kijów i kar haniebnych, posłuszeństwo i porządek.

Albowiem dawniej znany, lecz zgasły przez czas długi duch wojenny i męstwa ogarnął nasz naród. Nie zważając na trudy i niedostatek, pałał tylko bojem, miłością ojczyzny, zemstą za poniesione od nieprzyjaciół krzywdy.

Co za wesołość ujrzał pan majster ze swą pasierbicą w obozie! Jedni śpiewali wojenne i ludowe piosenki, to mazurki, to krakowiaki lub podlaskie i kurpiowskie dumy. Drudzy wróżyli kartami; ci tańcowali przy fletach, trąbkach i skrzypkach, owi wyprawy swe opowiadali wśród bielących się dookoła płóciennych namiotów.

Majster Wąsowski uprosił pułkownika Zawadzkiego, żeby Tomaszowi Kuwikowi, pozwolił z nim parę godzin poza obozem przepędzić. Weszli samotrzeć do ogródka restauracyjnego przy szosie, gdzie pod rozłożystym, pięknie w majowy liść ustrojonym jesionem, usiedli na ławkach. Przyniesiono im butelkę miodu lipcowego i kruchych obwarzanków piwnych.

Zapytany o przygody swoje ostatnie, wesoło im opowiadał o swym udziale w bitwie pod Górą, o różnych utarczkach z tamtej strony Wisły i o tem, jak mu się udało kasę z huzarami pochwycić.

Pokazał nawet kilka dukatów, które przy podziale otrzymał od zwierzchności swej z owej pochwyconej kasy.

— Muszę sobie już teraz prawdziwie żołnierskie skórznie sprawić w Warszawie—rzekł—bo moje kurpiowskie chodaki, choć miałem parę na zapas, do cna się zdarły, tem ci więcej, że pewnikiem będziemy musieli znowu w pole wyciągnąć.

— Nie potrzebujesz butów w mieście kupować—na to się odezwał majster—tu ci wezmę miarę i każę je w warsztacie moim zrobić ze skóry juchtowej o długich cholewach,—będą jak ulane!

No, napijmy się miodku... zdrowie twoje, Tomku!

— Dziękuję panu majstrowi—rzekł Tomasz—ale ja mam wielką prośbę do pana majstra...

— A jakąż to prośbę?—ten zapytał.

— Tę oto... żeby mi pan majster pozwolił wziąść teraz ślub z Anną—poczem pocałował starego w rękę i kolana mu ujął.

— Ho! ho! prawdziwie po żołniersku obcesowo. na bagnety! poczynasz sobie wojaczku, — ale całkiem nieroztropnie. Jakto? ziemia jeszcze tętni od armat i wojna trwa ciągle w kraju, a ty o żeniaczce myślisz, jakbyś tam był u siebie na Kurpiach i pszczoły w spokoju podbierał, lub do sarn strzelał!

Nie, nic z tego na teraz, mój zuchu!

— A przecież wielu oficerów żołnierzy zostawiło w domu żony i dzieci nawet, a mimo to idą piersi w bitwach nadstawiać—przekładał staremu nieco zasmucony Tomasz.

Pod ten czas Andzia, piekąc raczki, nic nie mówiła, jeno raz poraz szklankę z miodem do ust przykładała, żeby pomieszanie swoje ukryć.

— A przecież—mówił dalej Wąsowski—mógłbyś tam na wojnie czego, Boże, nie daj...

— Zginąć?—chciał pan majster powiedzieć—ależ i w domu na łóżku też młodzi umierają—tłómaczył Kurp';—zresztą co komu przeznaczone, to go nie minie: chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi, powiada przysłowie.

— Więc jakże to? chciałbyś wziąść ślub, i przez to od służenia Ojczyznie ze swemi młodemi siłami wywinąć się... To się nie godzi!

— Ależ nie, kochany panie majstrze, ja długo jeszcze chcę walczyć za kraj swój...

— A młodą żonę w domu zostawić?

— I to nie!

— Tedy wodzić ją przy sobie po obozach! Na to i ja w żaden sposób nie zgodzę się, i zwierzchność twoja też by na to nie zezwoliła.

— Zezwoliłaby, jeżeliby Anusia chciała zostać wiwandierką, to się znaczy, nosić dla bijących się żołnierzy żywność w koszyku i beczułkę z wodą albo piwem raz poraz donosić. Takie wiwandierki są już w naszem wojsku przecie...

— A niechże sobie będą, ale i wiwandierki nie są z kamienia i do nich kule na polu mogą trafić przecie? A ty, Andziu, nic na to wszystko nie mówisz?, tak jakbyś się w duchu już na to wiwandierstwo niebezpieczne zgadzała?

Młoda rybaczka, chłodząc sobie chusteczką rozpromienione lica, odpowiedziała:

— Czemu nie, mój drogi wujaszku? Wszak wszyscy wiemy o tem, że młoda Żubrowa służy razem z mężem w wojsku i przy nim się bije po męsku przebrana, a przecieć włos jej z głowy nie spadł, mój wujku. To też niech i ja się przysłużę czem będę mogła, napastowanemu krajowi naszemu. Będę pokrzepiała upadających na siłach żołnierzy, a rannych opatrywała.

Po tych słowach oczy jej zajaśniały męstwem i zapałem; widocznie i w duszy jej zagościł ogólny duch wojowniczy jak w całym narodzie.

— Widzę, uwzięliście się na mnie starego wy młodzi zbereźnicy—rzekł dobrodusznie pan majster ocierając sobie z miodu krótko przystrzyżone szpakowate wąsy—kiedy się już tak kochacie, to pobieżcież się, i służcie razem wspólnej sprawie naszej w tych dolegliwych czasach. Niech was Bóg błogosławi.

Młodzi runęli do nóg staremu, dziękując mu serdecznie, a on, pocałowawszy ich w głowy, kazał im powstać i zawołał o nową butelkę miodu.

Ponieważ jenerał Zajączek zapowiedział w obozie, że piechota za tydzień wyruszy w pole z działami, a za nią w kilka dni pójdzie kawalerja, więc ślub naszej młodej pary należało przyspieszyć.

Jakoż za zezwoleniem pułkownika Zawadzkiego uprosił majster Wąsowski Konsystorz Arcybiskupi, że zezwolił na ślub za jedną tylko zapowiedzią—i weselisko, na którem był i pułkownik Kiliński,

odbyło się przy skrzypcach, klarnecie i basetli, wesoło a serdecznie, na Podwalu w kamieniczce opatrzonej rokiem 1772-m.—Przy oczepinach, pannie młodej sypnęli na tacę: wujaszek Wąsowski, Kiliński i majster bednarski Andrzej kilkanaście czerwonych złotych i Stanisławowskich talarów.

Wprzód jeszcze Tomasz posłał był list do rodziców, w którym prosił o przysłanie mu metryki urodzenia do ślubu i o błogosławieństwo. Przysłali mu je starzy Kuwikowie, w liście pisanym niewprawną ręką Wojtusia, za dyktandem ojca, i nie bardzo gramatycznie, ale szczerze i serdecznie tej treści:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Cieszymy się, że wojujesz w tak świętej sprawie i jesteś zdrowy. Dajemy ci na ślub swe błogosławieństwo. My jesteśmy zdrowi z łaski Pana Boga, czego i tobie kochany synu życzymy. Wojtuś mniej już teraz chroma na nogę, pomaga ojcu w bartnictwie i w ogrodzie, a w czasie wolnym poluje w puszczy, kopie bursztyn, zbiera grzyby i jagody, a też w rzece Skwie łapie raki i ryby więcierzem łowi. Sadula ma cielę a ta klapiata już drugi raz ma prosiątka, z czem cię pozdrawiamy kochany Tomciu, I pisz do nas“.

Podpisano: „kochający cię rodzice“.

Dla Anusi uszyli w warsztacie Wąsowskiego dwie pary mocnych bucików z wysokiemi cholewkami, a bednarz Andrzej zrobił ładną i mocną beczułkę z kurkiem mosiężnym i obił ją także mosiężnemi obrączkami, do której pas rzemienny, dla przewieszenia beczułki przez plecy, kupił na Marywilu (gdzie dziś teatr) wujaszek Wąsowski.

Na wózku, którym miała jechać młoda Kuwiczka za wojskiem, wraz z żoną drugiego żołnierza, będą się mieściły dwa kufereczki z rzeczami, a także różne plastry, przepaski lniane i skubanki na rany.

Tymczasem wojna w kraju naszym wrzała jeszcze w najlepsze: jenerałowie Zajączek, Sokolnicki, Dąbrowski, Fiszer, Hauke, Sułkowski, Hornowski i pułkownicy: Krukowiecki, Weysenhoff, major Żymirski ucierali się i wymiatali Austryaków, którzy się uporczywie kusili odebrać napowrót naszym, świeżo zdobyty Sandomierz. Nie wiodło im się, bo wpierw jeszcze waleczny major Sztuart odpędził ich od Częstochowy, a inni pobili ich też na łeb na szyję, zabrali im mnóstwo jeńców, których do 10 tysięcy naliczono, różne zapasy amunicyi, oręża, mąki, soli, płócien. To było jednak smutne, że Polacy z Polakami walczyć musieli, gdyż Austryacy podczas swoich rządów w Lubelskiem, Siedleckiem i Galicyi brali ciągle rekrutów, tak, że pięć miesięcy przed zaczęciem wojny 70,000 ich wzięli i nową branką się zasilali.

Mimo to wojsko nasze, acz nie dorównające Austryakom liczbą, wypędziło ich z Księstwa, a kilka tysięcy pod dowództwem księcia Poniatowskiego wkroczyło do Galicyi; bo chociaż kraj ten od lat czterdziestu prawie, zostawał w rękach austryackich, serca tam i dusze zawsze tchnęły miłością ojczyzny, to też ochotnicy i ztamtąd się do szeregów garnęli. Książę Józef zdobył Kraków, potem Lwów, Jarosław.—Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Było to w połowie czerwca tegoż roku, kiedy nasz młody wojak Kurpiowski wpadł do kamienicy majstra Wąsowskiego i przywitawszy się z Anusią, która ciągle u wujaszka zamieszkiwała, rzekł:

— Wybieraj się najmilsza, bo jutro z obozu ruszamy!

— Już jutro?, a cóż zaszło tak pilnego? — zapytała młoda mężatka.

— Głównodowodzący książę Józef co z pod Krakowa stanął nad rzeką Sanem, kazał części wojska naszego wyciągnąć ztąd w Radomskie, a potem pod Sandomierz. Austryacy tu i owdzie tłumnie przedzierają się przez Wisłę do Księstwa, i co dziwna, że i Rosyanie z książętami Golicynem i Dołgorukim też wkroczyli w granice nasze, nibyto na pomoc Napoleonowi przeciwko Austryakom; ale cóż, kiedy dotąd ani razu przeciwko nim nie wystąpili, a jak przyjdzie do starcia, to glinianemi kulami strzelają. To i muszą się nasi mieć na ostrożności. O tem wszystkiem przywiózł do obozu wiadomość adjutant księcia, Szumlański. Zatem jutro raniutko w drogę, moja najdroższa Anusiu.

— Ha! jak w drogę, to w drogę — rzekła młoda wiwandierka ochoczo; jutro raniutko będę gotowa.

Jakoż nazajutrz, ubrana w granatowy kaftanik z amarantowemi wyłogami, spięty na guziczki metalowe z białemi orzełkami, stawiła się na wózku z różnemi przyborami, w obozie Mokotowskim. Między temi przyborami znalazł się i dwururny pistolet, który jej podarował był pułkownik Kiliński z trochą amunicyi, mówiąc:

— Nie zawadzi mieć przy sobie i ten instrumencik, bo o maruderów i różnych włóczykijów na wojnie nie trudno. Przytem nauczył ją, jak się z pistoletem obchodzić.

Potem przy odgłosie trąbek i bębnów pod dowództwem jenerała Zajączka, wyruszyły w pochód nasze zuchy pieszo i konno szosą na Raszyn, Sękocin, Tarczyn, Białobrzegi ku Radomiowi. Za wojskiem między furgonami jechała młoda Kuwikowa wraz z inną niewiastą, a Tomasz jadąc na koniku pomiędzy kurpiami, powiewał swoją chorągwią, na której był z jednej strony orzeł biały i pogoń litewska, a z drugiej popiersie Matki Boskiej Częstochowskiej, z Dzieciątkiem Jezus. Do kawaleryi maszerującej należały też szwadrony litewskie,

które w liczbie kilkuset, na dobrych koniach panowie litwini na wojnę przysłali. Później ci i inni litwini, którzy z za kordonu, to jest z pod rządu rosyjskiego do Księstwa na ochotnika przeszli, za powrotem ulegli srogim prześladowaniom i karom; oficerom golono głowy i jako prostych żołnierzy na Sybir wysyłano.

Otóż, gdy Arcyksiążę Ferdynand otrzymał posiłki z Węgier, i Morawii jeszcze w d. 12 czerwca we 20,000 wojska atakował księcia Józefa. Nasi acz w szczupłej liczbie, wsparci odwagą i wyborną miejscowością, nieprzyjaciela po jedenastogodzinnej bitwie ze stratą odpędzili. Mieli nasi 30 zabitych, 50 rannych, między którymi czterech jenerałów. Mimo to, Austryacy pchali się wciąż ku Warszawie, a z Galicyi już prawie całkiem ustąpili. Wśród ciągłych utarczek, jenerał Dąbrowski, ubiwszy nieprzyjacielowi dwóch oficerów i kilkunastu żołnierzy, wyparł go z Rawy, w Nowem Mieście zabrał 500 chorych, 8 oficerów, znaczne zapasy mąki i soli. Potem kapitan Godlewski na czele oddziału piechoty i jazdy, z twierdzy częstochowskiej uderzył pod Pilicą na liczniejsze od siebie siły, 40 piechoty węgierskiej położył, 20 wziął w niewolę, wiele broni i obozowych sprzętów zdobył. Tu i owdzie zabrano Austryakom armaty.

Te i inne jeszcze pomyślne wiadomości zbierał na postojach oddział wojska, w którym zostawał i nasz wojaczek Tomasz. Ale też doszła ich uszu i niepomyślna wieść, że jenerałowie austryaccy Mohr i Monde, złączywszy dywizje swoje, uderzyli na szczupłą awangardę, to jest przodujący oddział pod Jedlińskiem. Jazda nasza szczupła w liczbie, z samego młodego zaciągu złożona, pierzchnęła; kilka regimentów jazdy austryackiej, wpadło na tył piechoty naszej; lecz ta, utworzywszy czworobok, stanęła jak mur i wszystkie nieprzyjaciela szturmy wstrzymała. Krukowiecki na grobli opierał się całej Austryaków sile, aż nasi w porządku cofnęli się do Kozienic. Wielu ludzi z obu stron legło. Właśnie oddział warszawski, w którym był i pułk strzelców konnych kurpiowskich, śpieszył teraz jenerałowi Zajączkowi na pomoc.

Wyszła też na jaw nieprzyjemna wiadomość, że Sandomierz po kilkakrotnym szturmie z wielką nieprzyjaciół stratą, przez niedostatek amunicyi kapitulować musiał. Jenerał Sokolnicki z wszelkiemi honorami, z całym garnizonem i działami wyszedł swobodnie i wojsko z bronią wyprowadził. W czasie całego oblężenia Rosyanie znajdujący się o półtorej mili, na odsiecz Sokolnickiemu nie przyszli tak teraz, jak i nigdzie potem. Była tajemna ich zmowa z Austryakami przeciw obustronnemu ich wrogowi, Napoleonowi. Wogóle przy szturmach parokrotnych do Sandomierza, stracili Austryacy 3,000 ludzi i nieco armat. Potem znowu nasi to obronne miasto odebrali.

Książę, widząc dwuznaczne postępowanie wodzów rosyjskich, którzy jeno trop w trop za wojskiem polskiem bezczynnie postępowali, połączył z sobą polskie dywizje i przeprawiwszy się przez Wisłę pod Puławami, wziął w obronę cały brzeg lewy Księstwa Warszawskiego. Arcyksiążę stanął w Radomiu, a opuściwszy Galicyę, oddał ją w moc rosyjską.

Jenerał Dąbrowski od Nowego Miasta miał z Austryakami utarczki, odbił im magazyny w Rawie, wielu położył na placu i więcej jak na milę odegnał.

Zdarzyło, się, że w dniu 26 czerwca dwóch naszych ułanów prowadząc z Sulgostowa w Radomskiem, magazyny austryackie ku Warszawie, zostało napadniętych przez 18 huzarów i zabitych. Pod tę porę 12 naszych strzelców konnych kurpiaków, pod przywództwem naszego sierżanta Tomasza, wyjechali na zwiady i właśnie natknęli się na owych 18-u napastników. Prócz pałaszy mieli oni i dzidy.

— Hau zu! hau zu! (rąb! rąb!) zawołał podoficer huzarski z pokrwawioną szablą.

— Chłopcy! dalej w nich!—krzyknął Tomasz i wpadłszy jak piorun, podoficera ugodził dzidą tak silnie, iż ta go na wylot przeszyła i została w kadłubie. Huzar w strasznym bólu, sam wyrwał dzidę, ale też zaraz spadł z konia i skonał. Wzięli kurpiaki 12-tu huzarów w niewolę, a sześciu zabili. Rannych opatrzyła tymczasowo Anusia.

Pokazała się potem piechota nieprzyjacielska, ale teraz cały już pułk strzelców konnych z pułkownikiem Zawadzkim na czele, ze znaczną szkodą wyparował ją z lasu i daleko gonił.

Pod ten czas, kiedy dywizje Dąbrowskiego, Zajączka i Sokolnickiego, połączyły się z księciem Józefem i w groźnej postawie zamykały pochód Arcyksięciu ku Warszawie na drodze od Radomia, Rosyanie za zgodą Austryaków poczęli zajmować Galicyę, a tutaj książę Poniatowski z połączonemi dywizjami ruszył na Radom.

Nie czekał ich nieprzyjaciel: zostawiwszy w Radomiu magazyny swoje, uchodził dalej. Nasz Tomasz Kuwik z całym pułkiem kurpiaków należał teraz do korpusu jenerała Rożnieckiego, który z rozkazu księcia Józefa, jako przednia straż parł i ścigał uchodzącego Arcyksięcia. Austryacy w Żarnowcu Księżym i w innych dogodnych miejscowościach opierali się nieco; lecz wszędzie ze stratą wyparci, uchodzić musieli. Rożniecki tysiąc ludzi wziął im do niewoli, prócz tego wiele broni i magazynów. W pochodzie tym zwycięskim czyż można przypuścić, aby i nasz sierżant Kurp był ostatnim?, a i wiwandierka Anusia nie małe przysługi świadczyła, to dostarczając, wśród dotkliwych upałów walczącym chłodnej wody ze swej beczułki, to dając pierwszą pomoc rannym.

Żołnierze nasi przy tylu szturmach i zdobywaniu zapasów nieprzyjacielskich bogacili się i obfitowali przynajmniej w pochodach we wszystko. Nasz Tomasz naprzykład, był w stanie kupić swej Anusi na imieniny butelkę wina, która drogo, bo aż 30 złotych wówczas kosztowała.

Zkądinąd otwarcie Galicyi ze strony Wisły sprawiło w kraju dawno nieznaną taniość. Wół, co przed paroma miesiącami kosztował po 30 dukatów, wtedy był po 10, owies po 8 złotych korzec, żyto po 12, pszenica po 16 złotych.

Otóż ta przednia straż jenerała Rożnieckiego, ubiegłszy w jednym dniu 7 dni bez odpoczynku i jadła, w dniu 14 lipca mimo uporczywego w kilku miejscach oporu Austryaków zagnała ich pod Kraków, który znowu chwilowo opanowali byli. Jenerałowie Mondé i Mohr zwrócili się do Rożnieckiego ofiarując kapitulacyę Krakowa. Posłał z tem Rożniecki do księcia, naszego sierżanta, jako chłopaka sprawnego i roztropnego, i dodał mu za towarzysza konnego, kurpia. Było to pod koniec lipca. Książę Józef sam ułożył kapitulacyę w tych warunkach, że wojsko austryackie w dwunastu godzinach opuści Kraków,—że wszyscy ranni i chorzy Austryacy jeńcami będą wojennymi a magazyny, zapasy oręża i t. d. zostaną się przy zwycięzcy.

Wracał z tym papierem Tomasz z pod Krzeszowic, głównej kwatery księcia, do Krakowa, gdy nagle z przydrożnego lasku rozległ się huk ręcznej broni i kulka świsnęła około ucha Tomaszowi. Gdyby o pół cala nie chybiła, już by Anusia nie oglądała żywym swojego męża. Opatrzność jednakże nie dopuściła tego. Rozgniewany do żywego, poskoczył na zwinnym swym koniku nasz sierżant w głąb' lasku, i towarzysz za nim. Mignęła się szara sukmana pomiędzy jodłami. Tomasz, jak wiadomo, dzielny strzelec, z karabinka swego ku uciekającemu strzelił i widocznie trafił, bo zbrodniarz z jękiem padł na ziemię, a gdy nasi dwaj jeźdzcy dotarli do niego, już nie żył. Miał z tyłu głowę strzaskaną od kuli.

Nie zabawiał się nad nim długo Tomasz wiozący pilny i ważny papier, jeno zabrawszy poległemu flintę, z towarzyszem puścił się ku Krakowu dzielnym kłusem.

Nazajutrz książę, dowiedziawszy o tej przygodzie młodego, śmiałego kurpia, obdarzył go pierścieniem żelaznym, na którego wierzchu jaśniała złota, okrągła blaszka z napisem: „Książę Józef Poniatowski". Pierścienie takie miał zwyczaj rozdawać odważnym żołnierzom, jako odznaczenie i na pamiątkę. Tak więc nasz wojak dwie miał już takie oznaki.

Gdy księciu o tym tajemniczym strzale opowiadano potem w Krakowie, rzekł:

— Zapewne komuś na tem zależało, żeby mego pisma jenerałowi Rożnieckiemu na czas nie przywieziono i kapitulacyę odwlekano.

Jakoż z tą przygodą dziwnie się wiązało niebawem odkrycie: iż wtenczas, gdy jenerał Monde układał się z księciem Józefem, to jednocześnie wysłał do Rosyan zawiadomienie, by czemprędzej przychodzili opanować miasto, ocalając przez to szalbierstwo od zniszczenia swe wojsko.

Obruszeni takiem postępowaniem i wodzowie nasi i wojsko, zbliżywszy się do bram, zastali uszykowanych Rosyan broniących im przejścia. Natychmiast jazda nasza nastawiła drzewce, a piechota bagnety; Rosyanie musieli się rozstąpić, a nasi rozdawając policzki i płazy, weszli do miasta. Pewien kapitan posunął zuchwalstwo do tego stopnia że chwycił za cugle konia księcia Józefa; książę rękojeścią od szabli, uderzywszy go w twarz, zbroczonego we krwi obalił na ziemię.

Rożniecki ruszył z jazdą i oddziałem kurpiów przez most na Podgórze, przedmieście Krakowa. Tam zastawszy Rosyan i Austryaków bawiących się i pijących razem, uderzył na tych ostatnich; sam porwawszy dwóch oficerów za kołnierz, odesłał ich jako jeńców do Krakowa; prócz tego zabrano 30 huzarów.

Ponieważ Napoleon oddał Księstwo Warszawskie i zdobytą Galicyę pod zwierzchnictwo księcia Józefa, z warunkiem podległości temu cesarzowi, przeto z rozkazu tegoż, książę musiał zawieszać i tutaj orły francuskie i przysięgę na wierność Napoleonowi odbierać.

Zasmucił serca Polaków ten rozkaz dumnego cesarza, a Tomasz przyglądający się temu zawieszaniu na rynku i ratuszu wspaniałym, orłów francuskich w miejsce polskich, półgłosem do towarzysza Kurpika rzekł:

— Nasze polskie piersi i krew nasza i oręż polski zdobyły i odebrały te kraje, Francuzi ani jednego nie dali tu swego żołnierza, nawet dobosza, a teraz ich cesarz tutaj swoje ręce wyciąga i orły swoje rozpina!...

— Takie to widać nasze przeznaczenie, do czasu jeszcze, że nas i przyjaciele i sprzymierzeni gniotą!—odpowiedział również pół głosem towarzysz.

Podsłuchał ich obok stojący mieszczanin w rogatywce i czamarce ciemnej z pasem rzemiennym, na którego blasze mosiężnej jaśniał biały orzełek. Dodał od siebie uwagę:

— A w dodatku ten pyszny pan półświata, skąpiec, łasy na cudze złoto, nam każe ciągle pomnażać wojsko, opłacać je ze skarbu naszego, dawać prowiant dla jego armii, a prócz tego dla siostry swej i generałów swoich, wybiera już dóbr narodowych w Galicyi za 10 milionów!

— Żeby przynajmniej się to wszystko opłaciło! — zauważył Tomasz—ale on jakoś odwleka to wskrzeszenie całej Polski.

— Bo się nie chce narazić Rosyi—objaśniał mieszczanin—tak, że zamiast Polski nazwał oswobodzoną jej cząstkę ledwie Księstwem Warszawskiem. (D. c. n.).



W KRAINIE GWIAZD

Pogadanki z dziedziny astronomii.

PLANETY.

Neptun.

Ostatnia znana z szeregu planet systemu słonecznego, odkrytą została teoretycznie za pomocą rachunku, przez matematyka Le Verriera. Myśl przeprowadzenia podobnego rachunku, powstała wskutek zauważonych zaburzeń w biegu Urana, powodujących różnicę między teoretycznemi obliczeniami a spostrzeżeniami. Przyczynę tych niedokładności, objaśniono działaniem przyciągania jakiejś sąsiadującej planety i na podstawie obliczeń, wyznaczono drogę tej przypuszczalnej planety, co później rzeczywiście potwierdzono spostrzeżeniami. Największa odległość Neptuna od słońca wynosi 627, najmniejsza zaś 617 milionów mil. Droga obiegu jest więc bardzo mało eliptyczna, a nachyloną jest tylko o 1°47′ do ekliptyki. Czas obiegu około słońca, czyli rok Neptuna trwa 164 lat, 285 dni, 5 godzin. Do ziemi może się planeta zbliżyć na 596, oddalić znowu o 648 milionów mil. Przy średnicy 7800 mil, objętość jest 91 razy większa aniżeli ziemi; gęstość zaś obliczono na $^2/_9$ w porównaniu z ziemią. Z powodu tak znacznego oddalenia od ziemi, nie udaje się oznaczyć czasu trwania obrotu około osi, ani otrzymać żadnych danych, co do fizycznych własności powierzchni.

W roku 1847 odkryto pierwszy księżyc, okrążający Neptuna w ciągu 5 dni i 21 godzin ruchem wstecznym, podobnie jak księżyce Urana; w roku 1892 odkryto drugi księżyc. Przypuszczają, że podobnie jak między słońcem a Merkurym, znajduje się jeszcze jedna lub więcej planeta, nawet tej przypuszczalnej planecie dano nazwę

„Wulkan", tak samo i za Neptunem w olbrzymiej odległości, krążyć może dalsza planeta naszego systemu, o której jednakże dotychczas nic nie wiemy. Nie zadziwiłoby nas jednakże, gdybyśmy usłyszeli o odkryciu jakiejś nowej planety, gdyż liczbę znanych nam, nie możemy uważać już za skończoną.

Komety i Meteoryty.

Oprócz poznanych stałych członków naszego układu słonecznego, planet i ich księżyców, nawiedza nas czasami niespodzianie, zagadkowa grupa ciał niebieskich, zwanych kometami. Jedne z nich są stałymi mieszkańcami naszego układu, inne ukazują się tylko chwilowo, aby po kilku, lub kilkunastu obiegach, zniknąć znów w przestworach niebieskich; niektóre z nich zjawiwszy się nagle, zakreślają dokoła słońca drogę, w postaci paraboli lub hiperboli — nie wracają więc już nigdy. Te gwiazdy z ogonami odróżniają się nadto fantastycznemi kształtami i szczególnym ustrojem fizyko-chemicznym, tak różnym od spotykanego tu na ziemi, że materya komet, jej stan skupienia, pozostają dla nas jeszcze bardzo zagadkowemi. Kiedyś sądzono, że są to dusze wielkich tego świata, które odchodząc, żegnają go jeszcze swym potężnym blaskiem. Tak np. Kometa, która zjawiła się nagle 43 r. przed Chr. miała być właśnie duszą sławnego Cezara. Wieleż to legend z dawniejszych czasów łączy ściśle losy całych państw i ludzkości, zjawieniem się niewinnej komety. Z chwilą odkrycia praw ciążenia zauważono, że i te ciała podlegają również tym prawom i, że przypisywanie im jakichś nadzwyczajnych wpływów jest niedorzecznem.

Oprócz widzialnych gołem okiem, których dotąd poznano około 500, jest jeszcze znaczna liczba t. z. teleskopowych komet, widzialnych i to nieraz z wielką trudnością, tylko przez największe teleskopy. Ilość tych komet corocznie wzrasta. Drogi tych włóczęgów, jak je słusznie nazwano, różnią się bardzo od dróg planet; niektóre tworzą parabole, a nawet i hiperbole; jedne krążą około słońca, podobnie jak planety z zachodu na wschód, inne zaś ruchem wstecznym. Czas obiegu około słońca znanych powracających komet, waha się między 3 a 75 latami: tak np. kometa Enka obiega w 3 latach 115 dniach, Bieli w $6^3/_4$ latach, — Olbersa w 75 latach. Widziane w pełnym blasku, komety tworzą wielki pas świetlny, złożony z części jaśniejszej, zazwyczaj okrągłej, czyli t. z. głowy i z wychodzących z tejże, świetlnych smug, mniej lub więcej jasnych, nieraz niezmiernej długości, czyli t. z. ogona. Głowa zazwyczaj składa się z części

gęściejszej, czyli jądra otoczonego znów lżejszą materyą zwaną „Koma”. Owa właśnie mglista materya, stanowiąca powłokę jądra komety, wytwarza w miarę zbliżenia się do słońca świetlany warkocz, przewyższający często długością odległość ziemi od słońca. Przy komecie w 1843 r. warkocz jej był cztery razy dłuższy, aniżeli oddalenie ziemi od słońca. Rozmieszczona na takich olbrzymich przestrzeniach materya, musi posiadać nadzwyczaj małą gęstość, czego dowodem jest jeszcze to zjawisko, że nawet gwiazdy małe, bo 10-ej do 12-ej wielkości widzialne są zupełnie wyraźnie przez taki warkocz. Możemy również być zupełnie spokojni o naszą ziemię, gdyby była kiedyś spotkała się z ogonem komety. Co najwyżej spadłby na nas obfity deszcz meteorytów, jak to było w 1872 roku.

Ciekawem bardzo jest zachowanie się komet w razie zbliżania się ku słońcu, otóż, w miarę im bliżej słońca znajduje się kometa, tem silniej na materyą jej warkocza zaczyna oddziaływać jakaś niezbadana dotychczas siła, odpychając cząsteczki tej materyi w kierunku odwrotnym temu, w jakim działa siła ciążenia i to im bliżej perihelium (najbliższa odległość od słońca); tem bardziej zwiększa się działanie tej siły. Jak niezwykłe rozrzedzenie tej materyi warkoczów, tak też i szalona szybkość, jaką posiadają komety jest dla nas wprost niewytłómaczona. Kometa z roku 1843 obiegła dokoła słońca w ciągu dwu godzin. Jakąż szaloną szybkość, obliczaną na miliony metrów na sekundę, musiały posiadać końcowe cząsteczki jej warkocza. Osobną grupę, widzialnych tylko przez teleskop, stanowią komety o drogach eliptycznych, z stosunkowo krótkiem trwaniem obiegu około słońca.

Z większych znanych komet, widzialnych gołem okiem, pojawi się dopiero w 1910 roku, kometa Halle'go. Drogi wielu, są zazwyczaj bliżej nie znane; pojawiają się nagle, nie wracając już nigdy; zkąd zaś przychodzą i dokąd dążą może wiedzieć tylko ich Stwórca. W pewnym związku z kometami pozostają meteoryty, czyli gwiazdy spadające, zwane także Uranolitami, lub Aerolitami. Są to maleńkie ciałka niebieskie, krążące w przestrzeniach międzyplanetarnych, tworzące bądź masę kamienną, lub metaliczną, lub nawet posiadające ustrój gazowy. Przestrzeń, w której porusza się nasza ziemia usiana jest temi maleństwami; niektóre z nich przy zbliżaniu się do naszej ziemi zostają przyciągnięte, a wtedy napotykając na opór powietrza rozżarzają się i widzimy je w postaci kul świetlnych, bądź spadających na ziemię, bądź przeżynających tylko naszą atmosferę. W niektórych miejscach drogi ziemi, te drobne ciałka spotykamy obficiej i wtedy spadają one zazwyczaj w większych ilościach, tworząc istny deszcz gwiaździsty. Rozróżniamy dwa takie ważniejsze, co rok po-

wtarzające się okresy spadania gwiazd. Jeden t. z. Perseid, czyli łzy Św. Wawrzyńca, dnia 10 sierpnia, którego punkt promieniowania, czyli miejsce z którego meteoryty wychodzą, leży w gwiazdozbiorze Perseusza; drugi (2 i 13 listopada), rój Leonidów, w gwiazdozbiorze Lwa. Oprócz tych dwu powtarzających się okresów mamy jeszcze kilka innych mniejszych np. przy końcu czerwca i w początku grudnia. Ciekawem jest to, że przy największych ilościach spadających gwiazd na ziemię, nie upada żadna materyalna cząsteczka. Większe meteory, zwane także bolidami, spadają niekiedy z silnym hukiem i dochodzą do znaczniejszych rozmiarów, niekiedy kilkudzie-



Kometa.

sięciu centnarów. Rycina przedstawia upadek wspaniałego meteora w Ochańsku. Te okruchy ciał niebieskich, nieziemskiego pochodzenia, dzielimy według ich składu na meteoryty żelazne, złożone przeważnie z żelaza i niklu, w połączeniu z małą ilością fosforu i siarki i na kamienne, złożone z krzemianów. Oprócz tych ciał, znajdujemy jeszcze kobalt, wapień, glin, sól, tlen, wodór i węgiel miedziany w postaci diamentu.

(D. c. n.).

Antoni L—ka.

ŻONA CEZARA

powieść z pierwszych wieków chrześcijaństwa.

— Jakże zdrowie wasze?—zapytał lekarz.

Dyabolus, on to był bowiem, poruszył rękami, zwolna chwycił się niemi za piersi, dając poznać, że ból w nich czuje.

Nikolos chwilę nań popatrzył, poczem rzekł sam do siebie:

— Dziwna rzecz... ten człowiek powinien był już odzyskać siły. Dałem mu lekarstwo, które w razach omdlenia lub osłabienia zwykle skutecznie działa. Ale zostawmy osłabionego jeszcze chwilę w spokoju!

Rzekłszy to, rzucił okiem na leżącego nieruchomie nieznajomego i wyszedł, gdyż w tej chwili na pokładzie okrętowym zabrzmiały radosne okrzyki powitalne.

Po wyjściu Nikolosa, nieznajomy podniósł głowę, rozejrzał się dokoła, a widząc, że sam jest w kajucie, szybko zerwał się z posłania i jak kot poskoczył cicho, bez szelestu do drzwi, uchylił je ostrożnie i chciwie zaczął patrzeć na zewnątrz.

Ujrzał tam dla siebie rzeczy bardzo pożądane, bo zdawało się, że cały w wzrok się przemienił, tak patrzył chciwie.

Przez szparę we drzwiach doskonale widać było, że na pokładzie odbywała się scena niezwykła.

Cesarzowa Helena jaśniała radością i szczęściem, tuląc w swych objęciach dwie przecudnej urody dziewice, przybrane skromnie, lecz z wdziękiem nieporównanym.

— Etella!.. Irena!..—szepnął Dyabolus — to one!.. Przedwczesna wasza radość... musicie zginąć!.. krótkim będzie wasz tryumf!..

Dalej ujrzał wyniosłą postać Konstantyna, ściskającego z radością jakiegoś starca, obok którego stało trzech młodych patrycyuszów, a dalej kilku poważnych wiekiem senatorów, którzy uciekli z Rzymu.

Dyabolus z wściekłością zacisnął pięści.

— To oni... to ten spiskujący przeciwko Rzymowi król Cypru... ci obok niego, to Aurelian, Celiusz i zdrajca Aregozyl!.. I wy nie tryumfujcie!.. Zguba na was czyha!..

I jak duch z piekieł wygnany na ziemię, Dyabolus trząsł się w gniewie, zionął przekleństwami, obliczał w myśli złoto, niby drugi Judasz, złoto, które miał za zdradę otrzymać.

Tymczasem z pokładu dochodziły do uszu jego słowa radosne. Konstantyn ujął za rękę Aureliana i wraz ze starym Petusem odsunął się nieco na stronę, przez co przybliżył się do miejsca, gdzie podsłuchiwał Dyabolus.

— Sprawa nasza, drogi Aurelianie—mówił—idzie dobrze! Nigdy jeszcze wrogowie nasi nie popełnili takich błędów, jak w latach ostatnich. Dyoklecyan jest wielkim człowiekiem, umysł jego ogarnia świat cały, przenika duszę ludzką, ale niezdolny jest ukochać tej światłości, tej gwiazdy nowej ery, która nad ubogą stajenką w Betleem zabłysła dla milionów maluczkich, dla milionów cierpiących i wydziedziczonych, dla serc spragnionych miłości i prawdy, dla wszystkich ludzi wielkiego serca i rozumu... On, który zbrodni zawdzięcza niejeden swój tryumf, ma umysł skażony, serce zatrute... Te tysiące niewinnych wyznawców krzyża, zlewających krwią swoją areny cyrkowe, konających w męczarniach najokropniejszych, wzywają o pomstę do nieba, a zarazem użyźniają glebę i rzucają w nią ziarna odkupienia świata, wyzwolenia dusz ludzkich... Miliony czują i widzą, że dzieje się niesprawiedliwość, że zbrodnia bezkarnie chodzi w dzień biały, tylko rząd boskiego Dyoklecyana nic nie widzi tego... tylko on sam, wielki i potężny umysłem, nie rozumie, że mieczem ciało zabić można, ducha nigdy... Biada więc rządom jego!.. biada im, którzy ślepi są na głos ludu, na krew niewinnie wylaną, którzy nie widzą, że z krwi tej nieprzeliczone wyrastają lilie, napełniając świat cały niebiańską pięknością swoją...

Umilkł na chwilę, poczem brwi chmurząc i kładąc rękę na rękojeści miecza, mówił dalej głosem twardym, żołnierskim, przywykłym do rozkazywania:

— Ale my, Aurelianie, musimy ująć ster statku, który tonie... my musimy stać na straży wielkości państwa rzymskiego... Nam niewolno zapominać, żeśmy żołnierzami, że zło, które się szerzy, żelazem wypalić potrzeba, żelazem wytrącić z rąk szaleńców miecz katowski, którym szerzą zniszczenie...

— Potężni są!—szepnął Aurelian.

— Czyż to odpowiedź godna tak mężnego, jak ty żołnierza?

— Znam potęgę wrogów... lecz gotów jestem oddać życie w walce z nimi.

— Oddajesz się więc pod moje rozkazy?..

— Oddaję!.. Możesz, o, panie, rozporządzać mieczem moim!

— Cześć ci, Aurelianie!..

— Cześć tobie, panie, że gotów jesteś do walki ze smokiem stugłowym...

— Powtórz słowa moje Celsiuszowi i Aregozylowi...; liczę i na nich, jak na siebie samego... Miecze nasze wkrótce zabłysną w obronie krzyża...

— Oby te słowa miały moc cudowną!.. Oby nam dały zwycięstwo!..

Konstantyn uderzył znowu dłonią po rękojeści miecza.

— Aurelianie! — rzekł z mocą — wierzaj, Rzym pogański upaść musi... Matki to mojej, która zaiste świętą jest niewiastą, prorocze są słowa!..

— Duszą i ciałem oddany wam jestem!—rzekł z mocą Aurelian— ręczę też za Celiusza i Aregozyla... Miecze nasze jak jeden uderzą we wrogów krzyża...

— Ale chwila działania jeszcze nie wybiła... — mówił Konstantyn — cierpliwie i w milczeniu czekać musimy... Wiedz tylko, że chwila ta blizką jest!..

Poczem ująwszy pod ramię Aureliana, zwrócił się z nim do miejsca, gdzie cesarzowa Helena rozmawiała ze starym królem Cypru.

— Cieszę się — mówił idąc — że Petusowi udało się ocalić was, wyrwać z paszczy Maksencyusza, tego tygrysa wściekłego...

— Bóg widocznie pomaga i błogosławi naszej sprawie—odrzekł Aureliusz—szczęśliwie dostaliśmy się na okręt i odpłynęli pod flagą fenicką na pełne morze... Petus i jego towarzysze okazali się sprytniejszemi od szpiegów Dyoklecyana i Maksencyusza...

— Tak, Aurelianie—rzekł z wiarą Konstantyn—Bóg nam sprzyja... Z cierpliwością, w milczeniu przygotowywać się teraz będziemy do wielkiego dzieła, do zapewnienia tryumfu krzyża na ziemi... Dość już krwi niewinnie pomordowanych chrześcijan... dość zbrodni...

Oddalili się, rozmawiając ciszej, lecz słów ich Dyabolus już nie mógł usłyszeć, widział tylko, jak cesarzowa Helena zapraszała gości swoich do wielkiej sali okrętowej, gdzie przygotowana była dla przybyłych uczta.

Dyabolus zazgrzytał zębami.

— To, com usłyszał, godne jest królestwa — szepnął do siebie— bunt, zdrada przeciw prawemu monarsze, przeciw Dyoklecyanowi... Ci ludzie śmiercią grozili władcom świata i Rzymu... Za pogardzonym, znienawidzonym krzyżem ujmują się i stają w jego obronie...

Och, gdybym mógł lotem ptaka zanieść te wieści panu mojemu, boskiemu Dyoklecyanowi... Gdybym mógł ostrzedz boskiego Maksencyusza!.. Gdybym to mógł, miałbym góry złota...

Umilkł, ostrożnie jak kot cofnął się ode drzwi do posłania, położył się i wyszeptał:

— Wkrótce mrok ogarnie ziemię... zbliży się godzina działania... Muszę się z tego statku uwolnić... Wiem już, com wiedzieć chciał.. Mam wieści, od których zadrży nawet najpotężniejszy z najpotężniejszych—boski Dyoklecyan...

A później dodał:

Czy tylko ludzie moi ściśle wypełnią moje rozkazy?.. Wypełnią, nigdy mnie jeszcze nie zawiedli...

Wtem posłyszał czyjeś kroki nazewnątrz kajuty.

— Baczność!—szepnął sam do siebie—ktoś się zbliża... Ciekawi, ktom jest... No, niewiele się dowiedzą!..

I przymknął oczy, jak gad wstrętny przyczaił się, udając wciąż nawpół przytomnego, z sił wyczerpanego...

Naraz drzwi lekko skrzypnęły.

Ciemna, skulona postać weszła cicho do kajuty.

Był to karzeł-murzyn, stary już, pochylony.

Wyglądał potwornie, gdy na palcach zbliżał się, przewracając białka oczu.

Dyabolus z pod oka spojrzał nań i drgnął widocznie uradowany.

— „Sól i ogień!“—rzekł, podnosząc głowę i wymawiając te słowa, jako hasło.

— „Woda i piołun“—odrzekł garbus głosem ochrypłym.

Dyabolus podniósł się wtedy i zapytał:

— Złoto, kto ci wręczył?..

— Syn jaszczurczy—brzmiała odpowiedź.

— Kiedy?

— Przed dwoma dniami.

— A czy Syn jaszczurczy znajduje się na tym statku?

— Nie!.. rozkazał mnie czuwać... Mówił mi tylko, że wy, panie, przybędziecie...

— Powiedział ci moje nazwisko?

— Mówił, że potęga wasza sięga ponad trony...

— Prawdę ci rzekł. A twoje imię?..

— Tutaj Ruf, przytem dla wszystkich jestem niemową. Gdym pełnił swe rzemiosło u tyrana wyspy Cejlonu, zwałem się Partus... na dworach książąt indyjskich przybierałem nazwy...

— Mówił mi o tem „Syn jaszczurczy”... kazał mi polegać na tobie...

— Jak możecie polegać na własnej swojej prawej ręce, o, panie!

— Nagroda cię nie minie... Wejdziesz też do służby największego władcy świata... zostaniesz szpiegiem przy boku wielkiego Dyoklecyana...

— Dzięki ci o, panie!.. Nim to jednak się spełni, nim nagroda mnie spotka, ostrzegam cię, o, panie, że niebezpieczeństwo nam grozi...

— Jakie?..

— Przybył przed godziną wraz z innemi dostojnemi osobami na okręt nasz wielki Sawana-Naja, czarodziej i mędrzec, pozostający w służbie u byłego króla Cypru...

Domawiając słów tych, karzeł drżeć zaczął i białemi zębami zgrzytać.

— Co ci jest?..

— Boję się wielkiego czarownika Sawana-Nai...

— Głupiś... jam większy od niego...

— Wiem o tem, o, panie!.. Ale on mnie zna... on wie, ktom ja...

Dyabolus zatrzepotał rękami zgniewany.

— To źle... to bardzo źle!—zawołał.

— On mnie poznać może... A wtedy...

— Wtedy będziesz wisiał lub zgnijesz w lochu...

— Ratuj mnie, o, panie!

Dyabolus zamyślił się, poczem rzekł:

— Słuchaj mnie pilnie!.. zbliż się!..

Karzeł przysunął się do łoża, a Dyabolus mówił:

— Rybacy, którzy mnie tu przywieźli, są to moi ludzie... są to szpiedzy w mojej kształceni szkole... Ludzie ci nie zrobią nigdy zawodu... Słuchasz pilnie?..

— Słucham, panie... Mądrość płynie z ust twoich...

Ludzie ci wraz z innymi podpłyną tej nocy, gdy sen zmorzy załogę okrętową i głosem rozpaczy zaczną wzywać pomocy. Ty czuwaj, otwórz drzwi kajuty mojej i prowadź mnie na pomost, którym się schodzi z okrętu do łodzi... Gdy nogi nasze dotkną dna łodzi, będziemy bezpieczni...

— Straż nas chwyta, o, panie!.. To niemożliwe...

— Straż będzie gasiła pożar...

— Pożar?—zapytał karzeł zdziwiony.

— Który wywołają moi ludzie... Rzucą oni na ten statek masę zwaną ogniem greckim i podpalą go... Powstanie zamieszanie, każdy będzie chciał ocalić życie... Wtedy wpadną moi ludzie i udając, że niosą ratunek ofiarom pożaru, pochwycą dwie wskazane im już przez nas dziewice i uprowadzą z sobą... Czuwaj, Rufie, zważ pilnie słowa mo-

je!.. Okręt Maksencyusza pod flagą kupiecką czeka na nas wśród skał nadrożnych.

— Już zrozumiałem o co chodzi, panie!

— Jeszcze ci chce jedno powiedzieć — ciągnął Dyabolus, ale umilkł, gdyż dały się słyszeć nazewnątrz czyjeś kroki.

— Jestem niemową, panie, nie zapomnijcie! — szepnął karzeł i schował się w ciemnym kącie kajuty.

Dyabolus przybrał dawny pozór człowieka schorowanego, nawpół przytomnego.

Wszedł Nikolos wraz z Konstantynem.

Dyabolus zaczął wtedy słabym głosem dziękować za opiekę na okręcie, za ratunek, kłamał, że uciekał z Kartaginy przed tyranią wielkorządcy Maksymina, który żywcem chrześcijan palić każe... Jego, jako byłego kapłana pogańskiej bogini Izydy, nawróconego łaską Pańską, gorącego wyznawcę Chrystusa Pana, śmierć tem sroższa-by spotkała.

— Gdym patrzył na śmierć niewinnie mordowanych chrześcijan, poczułem, że ogień prawdziwej wiary mnie objął i nawróciłem się.

Gdy to bezczelne kłamstwo wygłaszał, nagle poczuł, że istotnie dreszcz dziwny nim wstrząsnął, przed oczami krzyż w krwi zbroczony mu stanął, płomień dziwny ciało przejął.

Szpieg, jak piorunem uderzony, przymknął oczy i rękoma chwycił się za głowę.

Ale dziwne widzenie wnet zniknęło, opamiętał się Dyabolus, otworzył oczy i spojrzał w lica pochylonego nad sobą lekarza.

— Dziękuję wam za pomoc... za ratunek—bełkotał.

(D. c. n.).

Stefan Gębarski.



Historya illustrowana Kościoła świętego RZYMSKO-KATOLICKIEGO w obrazach i życiorysach.

Dużo jeszcze krwawych prześladowań przejść musiała Unia, zwłaszcza na Ukrainie, gdzie zbuntowani przeciwko Polsce kozacy, bez miłosierdzia tępili Unitów, mordowali księży i panów. Wtedy r. 1656 poniósł śmierć za wiarę, w Janowie na Polesiu apostoł Unitów Andrzej Bobola, kapłan jezuita, któremu kozactwo zdarło żywcem skórę z nóg, rąk, głowy i piersi, obcięło członki, wreszcie wyrwawszy język, mieczami zasiekło. Pomimo jednak tych nieszczęść, Unia czyniła stałe i znaczne postępy; gdy zaś po wojnach kozackich, wschodnia część Ukrainy z miastem Kijowem przeszła pod panowanie Moskwy, w granicach Polski tylko trzy biskupstwa pozostały przy dyzunizmie, mianowicie lwowskie, przemyskie i łuckie, chociaż i tam wielu było Unitów. Aby nawrócić resztę dyzunitów nie mieczem, ale perswazyą i udowodnieniem prawdy, zwoływano dwa razy (roku 1629 i 1680) do Lwowa zjazdy duchowieństwa unickiego i dyzunickiego, na wspólne narady. Dyzunici jednak nie przybyli, wymawiając się, że ich głowy są za płytkie, aby o takich głębokich prawdach wiary mogli rozprawiać, i zostali nadal w swoim uporze.

Pod koniec XVII wieku skończył się upór ostatnich w Polsce dyzunickich władyków. Roku 1692 przyjmuje Unię dyecezya przemyska, w parę lat po niej lwowska, a wreszcie i łucka. Pozostała garstka dyzunitów z dniem każdym widocznie topniała i zmniejszała się pod promieniami światła i ciepła prawdy katolickiej.

Ten pomyślny stan rozwoju i wzrostu Unii, zakłóconym został na czas jakiś w latach 1705-1711, podczas wojny Polski ze Szwedami. Piotr Wielki, pomagał w tej wojnie królowi polskiemu Augustowi, lecz wkroczywszy z wojskiem w granice Polski, począł w niej

gospodarować, jakby w kraju nieprzyjacielskim. Najgorzej na tej jego gospodarce wyszli Unici. W Połocku zamordowano w kościele jednego księdza bazylianina, a czterech na śmierć, innych na ciężką chłostę i więzienie skazano; kościół zaś i klasztor poszły na łup żołnierzy. Unickiego biskupa z Łucka, Zabokrzyckiego wtrącono do więzienia w Moskwie, gdzie trzymając go przez lat kilka głodem zamorzono. Inni biskupi musieli się ukrywać, aby uniknąć podobnego losu.



Świętobliwy kapłan, Andrzej Bobola.

Po ustąpieniu Piotra z Polski, odetchnął i Kościół Unicki. Dla zagojenia ran, otrzymanych podczas ostatniej wojny, jak również, aby wzmocnić we wszystkich Unitach wiarę świętą i przywiązanie do Kościoła katolickiego, z nabożeństwa zaś usunąć niektóre dyzunickie zwyczaje, nie odpowiadające duchowi Kościoła i uszanowaniu, jakie się należy sakramentom świętym, biskupi ruscy postanowili zjechać

się, na Synod prowincyonalny. Za pozwoleniem Ojca świętego, pod przewodnictwem jego posła, odbył się ten Synod roku 1720 w mieście Zamościu, w kościele Pokrowy, czyli Opieki Matki Bożej.

Na Synodzie zasiadali wszyscy uniccy biskupi i ruscy i przeszło 130 księży. Według zwyczaju, przyjętego na podobnych zjazdach, wszyscy najprzód złożyli wyznanie wiary katolickiej, a następnie przystąpili do uchwalenia i ogłoszenia rozmaitych rozporządzeń. Oprócz przepisów, tyczących się sposobu życia i nauki tak świeckich księży, jak i bazylianów, uchwalono niektóre zmiany w ceremoniach służby Bożej i sakramentów. Nakazano, naprzykład, aby Przenajświętszy Sakrament był wszędzie przechowywany na ołtarzu wielkim, w srebrnej puszce, a nie w woreczkach w szafie, również aby był wystawiony w monstrancyi ku uczczeniu przez wiernych. Zalecono odprawiać codziennie mszę świętą, przynajmniej czytaną, aby lud nie łaknął nabożeństwa. Przyjęto uroczyste odprawianie procesyi na Boże Ciało, zachęcono do częstszej spowiedzi i komunii świętej i wprowadzono dużo innych rzeczy w celu podniesienia wiary i pobożności u wiernego ludu i zbliżenia do braci katolików łacińskiego obrządku.

Uchwały Synodu Zamojskiego potwierdził Ojciec święty Benedykt XIII papież, nakazując aby wszyscy Unici do nich się zastosowali. Pod wpływem tych reform podniósł się kościół Unicki, lud rozmiłował się w nabożeństwach i pobożności i zaprowadzał coraz więcej praktyk pobożnych, jako to: różańce, godzinki, gorzkie żale, które go zbliżały do łacinników i dawały czuć, że pomimo różności obrządków, wszyscy tak Rusini jak Polacy są dziećmi jednej i tejże matki, Kościoła świętego Rzymsko-katolickiego. Czasy, bezpośrednio następujące po Synodzie Zamojskim, są wogóle najszczęśliwszym wiekiem w kościele Unickim tak pod względem liczby wiernych, jak również i co do wewnętrznego stanu i pomyślności Cerkwi.

Nowy okres męczeński, rozpoczyna się dla Unii w drugiej połowie ośmnastego wieku, razem z upadkiem Rzeczypospolitej polskiej. Polska, osłabiona politycznie wielu wojnami i domowemi niezgodami, dała powód sąsiednim państwom do wtrącenia się w jej własne sprawy, na czem najwięcej ucierpiał Kościół i Unia.

Na Ukrainie polskiej zarządzał dyzunicki ihumen Melchizedech Jaworski. Będąc zaciekłym wrogiem Unii, sprzysiągł się na jej zgubę i odrywał od niej jedną parafię po drugiej. Pomagali mu w tem kozacy, a panowie tamtejsi, smutno wyznać, nie dawali Unii takiej opieki, jaką dawać byli powinni. Urządzono niesłychaną w dziejach chrześcijaństwa rzeź katolików, znaną pod nazwą buntu hajdamaków. Było to tak. W roku 1768, kiedy katolicy zawiązali związek czyli

konfederacyę barską, na obronę wiary świętej przeciw jej wrogom, zebrało się tysiąc kozaków, aby wyrznąć wszystkich panów i księży unickich i łacińskich. Aby nakłonić kozaków do tej szatańskiej roboty, pokazano im podrobiony Ukaz cesarzowej Katarzyny, że taka jest wola Imperatorowej i że im za to nic nie będzie. Archierej w Perejasławiu poświęcił miecze na tę wyprawę. Ruszyli więc kozacy w tysiąc koni, pod przewodnictwem Żeleźniaka na Polaków i Unitów, a ponieważ głosili po drodze, że bronią wiary swojej, więc łączyło się z nimi coraz więcej ciemnego chłopstwa. W taki sposób zebrało się wnet ze 30 tysięcy zbuntowanego ludu. Cała prawie Ukraina, na długości 60 mil, a 40 szerokości, stanęła we krwi i płomieniach. Ktokolwiek, czy ze szlachty czy z chłopów nie chciał porzucić Unii, a nie zdążył uciec w dalekie strony, szedł pod nóż hajdamaków. Ani starcom, ani kobietom nie przepuszczano: wszystkich mordowano, wieszano, palono. Najbardziej hajdamacy srożyli się na unickich księży, których przeszło trzystu zamordowali. Wreszcie oblegli warowne miasto Humań, gdzie się schroniło przed nimi, kilkanaście tysięcy ludzi. Zdobywszy to miasto wszystkich w pień wyrznęli; samemi dziećmi trzy studnie zapełnili. W ogóle bunt hajdamaków zgładził ze świata 200 tysięcy ludzi, obrócił w perzynę kilkaset wsi i miast niemało. Wojsko rosyjskie, stojące podówczas na Ukrainie, chociaż mogło łatwo przeszkodzić temu buntowi, nic jednak mu nie przeszkadzało; dopiero po rzezi w Humaniu, cesarzowa Katarzyna kazała swojemu wojsku rozbroić hajdamaków i okutych w dyby oddać w ręce polskich sądów. Melchizedech i Żeleźniak poszli na Sybir, ale wkrótce wrócili i żyli spokojnie w dostatkach.

Po uśmierzeniu buntu okazało się, że Unitów nie wiele pozostało na Ukrainie; cerkwie ich zagarnęła dyzunia. Po więzieniach jęczało kilkuset księży unickich. Rząd polski, znajdując się wtedy w trudnych warunkach, nie mógł im nieść pomocy, bo na Ukrainie, chociaż ona jeszcze należała do Polski, nie mógł gospodarzyć. Dopiero w roku 1775, z pomocą rządu polskiego, biskupi uniccy zdołali odebrać większą część swoich cerkwi.

W tych ciężkich dla Unii czasach, nie brakło jej apostołów, gotowych na męczeństwo, nie brakło i gorliwych pasterzy. Ratował i dźwigał Unię metropolita Jazon Smogorzewski, którego zasługi, można porównać z zasługami Pocieja i Rutskiego. Ratował Unię i biskup chełmski Maksymilian Ryłło, który nietylko pracował w swojej własnej dyecezyi, ale nadto, nie zważając na wojska nieprzyjacielskie, puścił się, jako prosty misyonarz, na daleką Ukrainę i chodząc od wioski do wioski, kazaniami lud unicki do wytrwania

w wierze święcej zapalał. Dostał się w niewolę, z której go zaledwie wstawienie się cesarza austryackiego wyzwoliło.

Poznaliśmy dotąd początek, wzrost, walki i tryumfy Unii świętej pod rządem Polski, teraz zbliżamy się do chwil najboleśniejszych w życiu Kościoła Unickiego.

Skutkiem wewnętrznego nieładu i obcych intryg, ojczyzna nasza chyliła się do upadku. Skorzystali z tego chciwi na cudze sąsiedzi i roku 1772 urządzili pierwszy rozbiór Polski między trzy mocarstwa. Z krajów o ludności unickiej, Rosya otrzymała Białą Ruś, Austrya zaś Ruś Czerwoną, czyli Galicję. W następnych rozbiorach, r. 1792 i 1794, Rosya zabrała całą Litwę i Ukrainę, a Austrya Chełmszczyznę. Reszta krajów, należących do Rzeczypospolitej polskiej, przypadła w udziale Prusom. Jak na tym nowym porządku rzeczy wyszedł Kościół Unicki? W Galicyi i Chełmszczyźnie jeszcze jako tako, bo nikt tam Unitów nie zmuszał do odstępstwa, ale w krajach zabranych przez Rosyę, zaczął się smutny obraz konania Unii.

Podpisując traktat pierwszego rozbioru, cesarzowa Katarzyna II, za siebie i za swoich na tronie następców, uroczyście zaręczyła, że katolicy będą zostawieni w wolnem wykonywaniu swego obrządku i zwyczajów, a cesarzowa i jej następcy nigdy nie użyją władzy monarszej na szkodę religii katolickiej.

Archierej Jerzy Koniski z Mohilowa i godny jego uczeń, Wiktor Sadkowski, rozpoczęli taką nagankę na Unitów, że w ciągu dwóch lat w samej dyecezji połockiej oderwali 433 cerkwi unickich i około tysiąca osób. Unicki pasterz, Jazon Smogorzewski, zastawiał się o ile mógł za swoją owczarnię, prosił listownie polskiego króla o orędownictwo do cesarzowej Katarzyny, ale wszystko to nic nie pomogło. Wkrótce, nie było nawet komu wstawiać się za Unitami. Gdy umarł biskup unicki smoleński, na jego miejsce wstąpił dyzunicki archierej. Dzielny obrońca Unii arcybiskup Smogorzewski, r. 1779 został metropolitą całej Rusi, a więc musiał przebywać w krajach, które jeszcze zostawały przy Polsce; nie dozwalano mu jednak sprawować żadnych rządów nad dyecezyą połocką; na jego zaś miejsce nie wyznaczono nawet następcy, lecz ustanowiono do rządu nad Unitami konsystorz z kilku niedołężnych księży, a ludowi kazano tłómaczyć, że już nigdy biskupa swego mieć nie będą i dlatego coprędzej powinni porzucać Unię. Aby to szło prędzej, nie pozwolono na miejsce umierających unickich księży, wyświęcać nowych, lecz osierocone parafie zamieniano na dyzunickie lub też do innych unickich przyłączano.

W tym czasie wsławiły się szczególnego rodzaju misye, podjęte w celu nawrócenia duchownych unickich do „prawosławia." Oporni

księża świeccy i bazylianie dostawali się do więzienia, lub byli wypędzani do Polski. Takiemi misyami, w przeciągu czterech lat odebrano Unitom 800 cerkwi i pociągnięto sto tysięcy ludu. Dopiero, gdy na usilne nalegania Ojca świętego, Cesarzowa Katarzyna zgodziła się r. 1784 wyznaczyć dla Unii nowego arcybiskupa, którym został ks. Herakliusz Lisowski, ucichły na jakiś czas misye i odstępstwa od wiary, ale za to z większą jeszcze gwałtownością wybuchło prześladowanie Unitów w innych stronach Rusi, mianowicie na Ukrainie, pozostającej jeszcze pod panowaniem polskiem.

Pozostałymi na Ukrainie dyzunitami od r. 1783 zaczął rządzić znany nam już Wiktor Sadkowski, mianowany przez cesarzową archimandrytą słuckim, a wkrótce władyką perejesławskim. Był on z pochodzenia polakiem, mieszkał na ziemi polskiej, podlegał królowi polskiemu, a pomimo to wykonał zdradziecką przysięgę, że będzie zawsze wiernie wypełniał wolę synodu petersburskiego. W każdem innem państwie za taki czyn byłby karany, w Polsce uszło mu to bezkarnie.

I zaczął działać na zgubę własnej ojczyzny. Wezwawszy do pomocy mnóstwo popów i czerńców z Kijowa, rozpoczął gwałtowną działalność na zgubę Unii. Kiedy obejmował rządy, dyzunici mieli w całej Polsce tylko 94 cerkwie, po trzech latach było ich już 300. Przyczyna tak nagłego wzrostu dyzunii — to natarczywość Sadkowskiego, z jaką słał wszędzie swoich popów i brak oporności u ukraińskich Unitów, którzy częstemi zmianami rządów kościelnych doszli do takiej obojętności, że dla wielu z nich było wszystko jedno, czy na probostwie siedział ksiądz unicki, czy też dyzunicki. Sadkowski jeździł po Ukrainie, rozgłaszając wszędzie, że Unia skończyć się musi, bo niezadługo nie będzie ani lacha ani żyda, tylko „błahoczestie.”

W roku 1789 robota Sadkowskiego zaczyna przybierać kształty otwartego buntu przeciwko Polsce. Przez lat dwadzieścia po buncie hajdamackim Ukraina zaludniła się na nowo i zakwitła pomyślnością. Nie było to na rękę wrogom Polski i dlatego postanowiono powtórzyć hajdamacką rzeź i wygubić polaków i unitów. Po ziemiach wołyńskich i ukraińskich snuć się poczęły jakieś włóczęgi, izwoszczyki, kupcy, zajeżdżający niby z towarami do popów i prostego ludu. Byli to szpiegowie, zachęcający lud do buntu. Po takiem przygotowaniu niedługo czekać na wybuch: napadnięto na dwór Wyleżyńskich i wymordowano całą rodzinę. Buntownicy posunęli się dalej; kto mógł uchodził przed nimi na zachód. Ale i Polska lepiej sobie teraz umiała poradzić, niż za poprzedniego buntu. Sejm wyznaczył obronę Ukrainy i surowe śledztwo dla uka-

rania winnych; wezwał Rosyę, aby swoje wojska z Polski zabrała; włóczęgom i podżegaczom kazał się wynieść skąd przyszli. Buntowników chwytano i osadzano w więzieniu, u podejrzanych zrobiono rewizye, które przekonały rząd polski o szeroko rozgałęzionem sprzysiężeniu, do którego należał i sam Sadkowski. Ten widząc, że źle z nim będzie, chciał uciekać, lecz pojmano go razem z papierami, które chciał zniszczyć. Za swym prowodyrem dostało się do więzienia wielu popów. Tym sposobem udało się szczęśliwie uśmierzyć bunt w samym zarodku.

Po uspokojeniu Wołynia, obradujący w Warszawie sejm wielki czteroletni, szczerze się zajął sprawami religijnemi. Biskupom unickim uchwalono wyższe pensye, metropolitę policzono między senatorów. Nie pominął sejm i dyzunitów. Zamierzono ustanowić kilku władyków dyzunickich, którzy mieli zależeć po dawnemu od greckiego patryarchy. Wszystkie te uchwały, gdyby przyszły do skutku, podniosłyby Kościół unicki i wyzwoliły go z ucisku. Niestety! nie było już czasu na ich wykonanie.

Zawiązuje się konfederacya targowicka, to jest związek panów polskich, niezadowolonych z sejmu, który ich wolności trochę ukrócił. Wojska rosyjskie wkroczyły w granice polskie, niby dla przywrócenia porządku. Dokonywa się drugi podział naszej ojczyzny. Uszczuplona w swych granicach Polska jeszcze raz powstała pod dowództwem Kościuszki, ale i ten wysiłek skończył się trzecim i ostatnim rozbiorem Polski i upadkiem zupełnym Rzeczypospolitej.

Sadkowski, uwolniony z więzienia, miał znowu ręce wolne do prześladowania Unitów. Tego człowieka obdarzono arcybiskupstwem mińskiem. Nowy ten arcybiskup rozpoczął swój urząd od listu pasterskiego do Unitów, w którym zohydza Unię, wymyśla na polaków, co mu tylko do głowy przyszło, a w końcu wzywa Unitów, aby przyjęli „prawosławie". List ten urzędnicy czytali nawet w cerkwiach unickich W ślad za listem rozesłał archierej po całej ziemi unickiej popleczników swoich na nawracanie Unitów. O tych misyach mamy opisy, pochodzące od ludzi, co własnemi oczami na nie patrzyli, a nawet od samego metropolity unickiego; możemy więc być pewni, że wszystko to prawda, co mówią oni o tem nawracaniu.

W roku 1795 nowy zamach na Unię. Skasowano wszystkie unickie biskupstwa, oprócz połockiego, usunięto metropolitę i innych pasterzy od sprawowania ich obowiązków i rozpędzono zakonników. Resztę pozostałych Unitów poddano pod władzę połockiego arcybiskupa Lisowskiego, człowieka słabej woli. Z dawnej świetności Kościoła Unickiego tylko wspomnienie zostało.

Sadkowski, po dokonaniu swych krwawych misyi, został przeniesiony r. 1796 na inne władyctwo w głębi Rosyi. W przeciągu lat dwudziestu kilku, przepisano na dyzunię przeszło siedm milionów Unitów. Ale Opatrzności spodobało się zachować resztki wiernych na nowe cierpienia, nowe walki i nowe zasługi na żywot wieczny.

Wstąpiła w Unitów otucha, gdy po śmierci cesarzowej Katarzyny, tron rosyjski obejmował cesarz Paweł. Nie był on wrogiem katolików, okazywał nawet przyjaźń papieżowi. Spodziewano się więc po nim dużo i dla Kościoła Katolickiego i Unii. Lecz, niestety, cesarzowi w dobrych jego zamiarach przeszkadzali ludzie przewrotni, żyjący jedynie uciskiem słabszych. Chociaż za Unitami wstawiał się do cesarza nuncyusz papieża, chociaż metropolita Rostocki, biskupi i księża uniccy błagali go o przywrócenie Unii do dawnego stanu, Paweł nie podniósł Unii jak słuszność wymagała, zrobił zaledwie tyle, że ustały krwawe prześladowania i że obok arcybiskupstwa unickiego w Połocku przywrócono na nowo biskupów w Łucku i Brześciu. Odtąd więc miał Kościół Unicki w Rosyi trzy biskupstwa, a w nich 1300 parafii (dawniej było ich na samej Ukrainie 5 tysięcy), 90 klasztorów i niecałe półtora miliona wiernych.

Znośnego spokoju zażywał Kościół Unicki i za następnego cesarza Aleksandra I (od roku 1801 do 1825). Utworzonem nawet zostało czwarte unickie biskupstwo, a Lisowski otrzymał tytuł metropolity. Duchowieństwo było przywiązane do Kościoła Katolickiego, który wtedy i w innych krajach ciężkie przechodził koleje. Ojciec święty Pius VII był więziony przez Napoleona we Francyi tak, że trudny był do niego dostęp. Dlatego i nowy metropolita unicki Kochanowicz, naznaczony przez cesarza, przyjął święcenia bez wiedzy papieża; ale zaraz zjechawszy się z innymi biskupami, ułożył deklarację posłuszeństwa i wierności Stolicy świętej i przesłał ją przy okazyi Ojcu świętemu. Unia dźwigała się powoli, gojąc swoje rany zadane prześladowaniem. Zdarzały się jeszcze i za cesarza Aleksandra odstępstwa od Unii, zdarzało się, że rząd zamykał niektóre klasztory bazyliańskie, a nawet cały zakon jezuitów z Rosyi wypędził, ale wszystko to nie tak było ciężkiem, jak prześladowania za panowania cesarzowej Katarzyny. Smutno jednak, ale trzeba wyznać, że tego względnego spokoju biskupi uniccy nie umieli użyć dla dobra Kościoła. Zamiast wzmacniać Unię wychowaniem wykształconych i przywiązanych do Kościoła księży, tracili czas i siły na kłótnie między sobą i z łacinnikami. A o co? Wielu Unitów, nauczonych doświadczeniem lat ubiegłych, przeczuwając, że prędzej czy później może nastać nowe prześladowanie Unii, aby uniknąć tego, poczęli przechodzić na obrządek łaciński. Biskupi, zamiast

cieszyć się tem, zawodzili ustawiczne spory to o powrót tych nowych łacinników do obrządku greckiego, to znowu o odłączenie się od łacinników w kolegium duchownem katolickiem w Petersburgu. Te spory wzniecały tylko rozgoryczenie między dziećmi jednej i tejże religii. Również nie mądrym był spór świeckiego duchowieństwa z bazylianami. Zakonnicy owi byli to kapłani między duchowieństwem ruskiem najuczeńsi i najgorliwsi, z nich też po największej części pochodzili biskupi uniccy. Ale ponieważ mieli niemało majątków i według swoich praw nie podlegali biskupom, tylko własnym przełożonym, wzrosła stąd nienawiść do nich. Procesowali się biskupi i księża świeccy z bazylianami, dopóki nie nastał na metropolitę ks. Józafat Bułhak, który te spory załagodził. Ale zakon już był podupadł, a przez to i sama Unia straciła dużo najlepszych sił, których przecież bardzo potrzebowała w czekającej ją nowej walce.

Józef Siemaszko, rodem z kijowskiej gubernii, skończywszy nauki duchowne w katolickiem seminaryum w Wilnie, wyświęcony został na kapłana unickiego i wysłany do Petersburga, gdzie przy katolickiem kolegium zrobiono go asesorem dla spraw unickich. Był to człowiek zdolny, ale ambitny, łakomy na pieniądze i chciwy władzy nad innymi. W głowie tego człowieka, co powinien był być opiekunem Unii, wylągł się szatański pomysł zupełnego jej zniesienia. Bojąc się swojej duchownej władzy, ukrywał ten projekt przed nią, a zwierzał się przed urzędnikami, licząc na ich pomoc i opiekę. Co go skłoniło do zdrady tego Kościoła, na łonie którego wzrósł i wychował się? W pamiętnikach swoich wyznaje sam, że nie czynił tego z przekonania, jakoby rosyjskie „prawosławie” było lepszą religią niż katolicyzm, ale jedynie dla interesu politycznego Rosyi, a przedewszystkiem, zapewne, dla korzyści doczesnej i własnego wywyższenia się. Plan Siemaszki polegał na tem, aby nie odrazu zrywać z Kościołem Katolickim, lecz udając przez jakiś czas wierność Stolicy Apostolskiej, oczyszczać tymczasem obrzędy kościelne z tych dodatków, które wprowadził Synod Zamoyski lub prywatna pobożność kapłanów i ludu. Tym sposobem nabożeństwa unickie miały stać się we wszystkiem podobne do prawosławnych, a lud powoli do nich przyzwyczajony nie czułby już żadnej różnicy między sobą a prawosławnymi. W tymże celu proponował trzymać duchowieństwo unickie jek najdalej od łacińskiego, Unitom zabronić wszelkich stosunków religijnych z braćmi łacinnikami, aby wpoić ludowi przekonanie, że Unia to inna wiara, a łaciński obrządek inna. Ponieważ zakonnicy bazylianie najwięcej utrzymywali w ludności ducha katolickiego, więc zamknąć ich klasztory. Żeby nawet biskupi nie mogli

czynić tego, co im sumienie nakazywało, doradza Siemaszko ująć im władzy nad wiernymi, a oddać ją w ręce takich księży, co będą szli ręka w rękę z rządem. Kiedy się w ten sposób zmieni nabożeństwa, osłabi wiarę i przywiązanie do Stolicy świętej, kiedy lud już nie będzie widział wielkiej różnicy między unickim księdzem a popem, wtedy dopiero otwarcie oderwać się od Rzymu i połączyć z religią rządową. Plan ten przedstawiono cesarzowi Mikołajowi I, który zatwierdził w całości te projekty Judasza i rozkazał wprowadzać je powoli w wykonanie.

Zgodnie z projektem Siemaszki, najpierw zabroniono sprzedawać Unitom książek katolickich do nabożeństwa. Wkrótce bazylianom zabroniono przyjmować do siebie łacinników, a potem zupełnie zamknięto im nowicyaty, aby zakon skazać na rychłą zagładę. W przeciągu kilku lat skasowano 50 klasztorów, pomiędzy nimi i klasztor Poczajowski na Wołyniu z cudownym obrazem Matki Boskiej, kościół zabrano na cerkiew prawosławną. Zakonnicy ledwo dyszeli pod uciskiem. Zabrano się i do biskupów. Z czterech dyecezyi unickich skasował rząd roku 1828 dwie: łucką i wileńską, biskupi zaś pozostałych dyecezyi połockiej i brzeskiej, mieli we wszystkiem słuchać urządzonego w Petersburgu kolegium unickiego, w którem rej wodził Siemaszko. Niezadługo i to kolegium poszło pod władzę prawosławnego synodu. Prawowity pasterz Unii metropolita Bułhak i inni biskupi odsunięci wcale od rządów Kościoła. Pozostał na stanowisku tylko biskup Martuszewicz w Połocku, ale i temu dodano Siemaszkę, jako biskupa pomocniczego, a właściwie na to, aby pasterza swego na każdym kroku szpiegował i nie dopuszczał do jakichkolwiek kroków na obronę Unii. W ciągu lat kilku poumierali wszyscy biskupi. Pozostał tylko metropolita Bułhak, wiekiem i zmartwieniami złamany na siłach starzec, a obok niego Siemaszko. Nowi biskupi w niczem nie byli lepszymi od Siemaszki. Byli nimi: Zubko, Łużyński i Żarski, a objęli swoje godności nie pytając wcale o pozwolenie Stolicy świętej. Najgorsi ci ludzie ozdobieni zostali biskupiemi mitrami.

Jacy byli biskupi, takich też wychowywali sobie księży. Chociaż udawali jeszcze katolików, klerykom w seminaryach uczyć się kazali z książek prawosławnych. Do nabożeństwa publicznego w cerkwi polecili prawosławne mszały, czyli służebniki i trebniki, zaprowadzali ikonostasy, a wyrzucali organy, boczne ołtarze i inne urządzenia o piętnie katolickiem. Lud silnie opierał się tym nowościom, lecz Siemaszko, objeżdżając parafie, zapewniał, że na zmianie obrządków i urządzenia cerkwi wiara nic nie cierpi. W duszy czuł i myślał co innego.

W niektórych miejscowościach, jak w Paszynkach i Chodanach na Wołyniu, Sorzycach, Królewicach i indziej, przyszło aż do bójki w obronie dawnych ceremonii, a w Rzeczycy sami parafianie rozebrali w cerkwi ikonostas i wszystko przywrócili do dawnego porządku.

Nie sam tylko prosty lud opierał się nowościom, ale i kapłani zmiarkowali, że pod pozorem oczyszczenia obrządku chcą wprowadzić prawosławie. Więc 54 księży, razem zebranych w Nowogródku, założyło protest przeciw rozporządzeniom Siemaszki w obronie starych obrzędów; za nimi poszło duchowieństwo innych powiatów. Niestety, wystąpienie swoje jedni więzieniem inni wygnaniem na Syberyę przypłacić musieli. Okrucieństwo doszło do tego stopnia, że niektórym księżom unickim zabierano nawet przemocą dzieci, aby je wychować w prawosławiu. Tak, naprzykład, postąpili z ks. Micewiczem: dzieci mu odebrano, a jego samego trzymano przez pół roku w piwnicy o chlebie i wodzie, następnie oddano pod nadzór policyi, a wreszcie zesłano do klasztoru czerńców. Takich wypadków liczono całemi dziesiątkami. Innych znowu księży degradowano na dyaków lub ponomarów przy cerkwiach prawosławnych.

W tymże czasie zabrano Unitom przemocą kilka kościołów, a ich samych przymuszano do porzucenia Unii. Powróciły czasy misyi Sadkowskiego. Kilka parafii błagało o litość, szlachta podała zbiorową prośbę za Unitami, ale wszystko napróżno.

Wreszcie wydało się już Siemaszce, że czas zrzucić maskę i otwarcie oderwać się od jedności z Kościołem Katolickim. Inni biskupi tak samo myśleli, tylko jednego starego metropolity obawiali się, że na odstępstwo przystać nie zechce. Siemaszko podjął się nakłonić go na swoją stronę; ułożywszy więc wespół z Zubkiem i Łużyńskim akt odstępstwa, udał się do Bułhaka, aby jego podpis i zgodę otrzymać. Metropolita, starzec słabego charakteru, często ulegał namowom Siemaszki i rękę przykładał do różnych rządowych rozporządzeń, ale mając wiarę nie chciał być zdrajcą Kościoła i dlatego, gdy Siemaszko stanął przed nim, obiecując za podpis wielkie łaski rządu, zgromił go surowo i kazał mu wynosić się za drzwi. Poszedł Siemaszko jak zmyty i przekonał się, że z odstępstwem trzeba jeszcze poczekać. Niezadługo jednak, bo 1838 roku umarł ten ostatni obrońca Unii świętej, metropolita Bułhak, ze zmartwienia i zgryzoty. Aby się przynajmniej zemścić nad nim za odniesione zawstydzenie, Siemaszko ogłosił przed ludem, że metropolita przed śmiercią przyjął dyzunię; rząd zaś sprawił nieboszczykowi pogrzeb.

Miejsce Bułhaka, jako najwyższego rządcy Kościoła unickiego, zajął Siemaszko chociaż bez tytułu metropolity. Miał już teraz

wolne ręce, nikt mu nie stał na zawadzie, więc nie czekając długo, wespół z Łużyńskim i Zubkiem, wezwał otwarcie podwładne duchowieństwo unickie do podpisu, że nie będą przeszkadzali w zaprowadzeniu prawosławia. Wielu księży, już to wychowanych przez samego Siemaszkę, już to trwożliwych o swój los doczesny, uległo woli jego i podpisali żądaną deklaracyę. Oparło się jednak temu żądaniu niemało, bo 593 duchownych, którzy też swoją stateczność nowemi cierpieniami opłacić musieli. Jednocześnie na sekretnem posiedzeniu Tajnego komitetu do spraw unickich w Petersburgu uchwalono skończyć już z Unitami. Siemaszko, znowu z Łużyńskim i Zubkiem, zjechali się do Połocka, gdzie 12 lutego 1839 roku spisali tak zwany „soborny akt" zjednoczenia Unii z cerkwią rosyjską i prośbę do cesarza o przyjęcie całej Unii na prawosławie. Tegoż dnia w Sofijskiej cerkwi katedralnej odprawił Siemaszko liturgię czysto prawosławną, bo opuścił modlitwę za papieża, a za to modlił się za odszczepionych patryarchów wschodnich i wyliczał całą rodzinę cesarską. Był to znak, że Unia z Rzymem na Rusi istnieć przestała.

Przesłany do Petersburga akt ten uzyskał zatwierdzenie synodu, a sam cesarz Mikołaj dopisał na nim te słowa: „Składam dzięki Bogu i przyjmuję" (Благодарю Бога и принимаю). Ojciec święty Grzegórz XVI zgromił odstępców i upomniał się, że nie wolno wobec Boga samowolnie rozporządzać sumieniami Unitów, ale rząd odpowiedział, że Unici, dobrowolnie powrócili do dawnej swej wiary. Na pamiątkę tego „wozsojedinienia" Unitów, wybito i rozdano medale. Siemaszko z biskupa został archierejem prawosławnym, a żyjąc jeszcze lat trzydzieści, wszystkie dni swego podłego żywota obrócił na niszczenie Unii, a nawet Kościoła łacińskiego.

Zaraz po odstępstwie Siemaszki rozpoczęło się zaciekłe prześladowanie unickiego duchowieństwa, które od Unii odstąpić nie chciało. Przeszło stu księży wysłano na Sybir, lub do monasterów, pewna część ratowała się ucieczką do Galicyi; ilu jednak w lochach więziennych zgniło nie wiadomo. Z pomiędzy mnogich przykładów bohaterskiego męczeństwa w obronie wiary świętej, podajemy parę tylko dla pociechy i nauki wiernych owieczek.

W Łyskowie, gubernii grodzieńskiej, przełożonym klasztoru bazylianów był ks. Siedlecki. Raz i drugi otrzymał on wezwanie od Siemaszki naprzód, aby nabożeństwo kościelne odprawiał na sposób prawosławny, a potem aby przyjął „prawosławie". Łatwo się domyśleć, że na te wezwania bogobojny zakonnik wcale nie zważał i nawet odpowiadać nie chciał. Naraz w ciągu roku 1840 dowiaduje się, że Siemaszko za podobny opór rozpędził już zakonników w Żyrowicach i że zbliża się w tymże celu do Łyskowa. Zbiera przeto ksiądz

Siedlecki lud do cerkwi, wykłada mu naukę co to jest Unia, poczem od ołtarza składa na głos razem z ludem przysięgę, że raczej umrze, aniżeli odstąpi prawdziwej wiary i prosi Boga o dar wytrwania dla siebie i parafian. Wtem nadjeżdża Siemaszko i wzywa zakonników do odstępstwa, lecz wszyscy jednym głosem odpowiadają, że umrą Unitami. Jeden z nich, świętobliwy starzec ksiądz Bocewicz, wprost w oczy nazwał Siemaszkę i jego kolegów Judaszami i pogroził, że cienie umęczonych i sama pamięć zbrodni mścić się na nich będą. Rozwścieklony Siemaszko kazał pozamykać zakonników do komór, a gdy to nie skutkowało, zdjęto im obuwie i boso popędzono do chlewów, aby taczkami mierzwę wywozili. Tak cały tydzień na mrozie pracować musieli namaszczeni od Boga słudzy ołtarza. Bocewicz w kilka dni Bogu ducha oddał. Lud okoliczny długo z miłością wspominał go, jako świętego męczennika. Innych zakonników przewieziono do monasterów.

A teraz inny przykład. W Mińsku był klasztor sióstr bazylianek. Przełożona ich, matka Makrena Mieczysławska, ustawicznie była przynaglaną przez Siemaszkę, aby ze swemi zakonnicami porzuciła Unię. Gdy nie chciały tego zrobić, zostały przeniesione jako oporne do monasteru prawosławnych monaszek w Witebsku, gdzie je oddano pod nadzór popa i zakonnic. Matkę Makrenę i jej towarzyszki, okute w kajdany, za dnia przeznaczano do najniższych posług i to o głodzie i chłodzie, a w nocy po ciężkiej całodziennej pracy dawano im na posłanie garść brudnego barłogu. Ciężkie były cierpienia ciała, ale cięższemi od nich duchowe cierpienia. Nie miały się biedne zakonnice ani przed kim użalić, ani wyspowiadać, ani od kogo Komunii św. przyjąć.

Po dwóch latach męczarni pozostałe przy życiu siostry przeniesiono do Połocka. Znowu po dwóch latach przeniesiono do monastyru w Miadziołach. Tylko cztery z tych zakonnic, między niemi i matka Makrena, zdołały uciec z Miadziół za granicę i całemu światu opisały swoje i swoich towarzyszek katusze. Matkę Makrenę przyjął w Rzymie z radością sam Ojciec święty i przeznaczył jej na mieszkanie pewien klasztor; w którym umarła świątobliwie r. 1869.

Po tem, co się powiedziało, łatwo pojąć, jaka rozpacz musiała ogarniać lud unicki, gdy widział, że jedni pasterze go zdradzają i zaprzedają, a drudzy, idą na męczeństwo. Lud w wielu miejscach nie umiał pohamować swego oburzenia i czynnie wystąpił w obronie swych świętości. Ale cóż mógł poradzić bezbronny lud? Zapisywano więc wszystkich Unitów, czy chcieli czy nie chcieli, do nowej religji.

Jak na łanie po szalonej burzy wszystko zboże leży pokotem, zaledwie jeden lub drugi kłosek śmiało strzela do góry, podobny widok przedstawiała Ruś unicka po przejścu nawałnicy misyi Siemaszkowych. Zaledwie jedna lub druga dusza, mocniejsza niż wszystkie burze, śmiało patrzyła do góry, gdzie mieszka Ten, który pociesza płaczących i nasyca łaknących sprawiedliwości. Powoli jednak i z tych tłumów ludu, które na oko uległy przemocy, opatrzyło się wielu, przywodząc sobie na pamięć, jak ciężkiego dopuszczają się grzechu, gdy ulegają oderwaniu od Kościoła. Sami też odtąd chrzcili swoje dzieci, kryjomo grzebali umarłych, biegali w dalekie strony, aby módz przystąpić do świętych sakramentów u katolickiego księdza. Minęło już 60 lat od owej burzy, sprowadzonej przez Siemaszkę, urzędowo o Unitach na Litwie ani słowa nie słychać, ale w rzeczywistości oni żyli i w cichości oddychali duchem katolickim.

(d. c. n.).



Do Szanownych Braci Rodaków

Sześćsetna rocznica urodzin

KAZIMIERZA WIELKIEGO.

1310—1910.

Zbliża się sześćsetna rocznica urodzin króla naszego Kazimierza Wielkiego. Korzystając z tego, miasteczko Kowal, w ziemi warszawskiej położone, jako miejsce narodzin wielkiego monarchy, krzątać się i zabiegać poczyna, około uświetnienia i uczczenia pamięci swego królewskiego ziomka trwałym pomnikiem, którego tu dotąd nie posiada. Będzie nim figura kamienna, dom ludowy na pustym dotąd placu zamkowym w pobliżu tradycyjnej kuźni, albo pamiątkowa tablica w ścianie presbyteryum kościoła, jedynego zabytku po Kazimierzu Wielkim w Kowalu.

Zorganizowany z miejscowych obywateli komitet podejmuje już zamierzone prace. Komu więc z naszych Szanownych Rodaków łaskawa Opatrzność pozwoli przeżyć trzydzieści miesięcy, licząc od daty dzisiejszej, ten wraz z kujawianami i kowalanami podzielać może, conajmniej sercem i duchem, wielką radość uczestników, przy odsłonie zaprojektowanej pamiątki.

Prastare kujawskie miasteczko Kowal — miejsce urodzenia króla Kazimierza—uprzedzając sześćsetną rocznicę jego urodzin, przypadającą w d. 30 kwietnia 1910 r., otwiera z dniem 5 listopada b. r., zaznaczonym żałobą po jego śmierci († 1370), podwoje do przyszłych uroczystości urodzin, przez nabożeństwo żałobne za spokój wieczny wielkiego króla. Do tego zaś zbożnego obowiązku poczuwa się Kowal nie tylko z powodu, że król Kazimierz ujrzał tu światło dzienne, lecz, co ważniejsza, przez ponowioną ofiarę Mszy św. pragnie złożyć mu dowód niewygasłej w sercach swych obywateli wdzięczności, za wyniesienie osobnym przywilejem niegdyś wsi Kowale do



KRÓL, KAZIMIERZ WIELKI.

rzędu miast, za zbudowanie im świątyni, z której wprawdzie presbyteryum tylko dotąd widnieje, oraz za wyzwolenie ich ojców wraz z całą ziemią kujawską, z pod nieznośnego jarzma krzyżackiej przemocy.

Uroczystość ta wszakże, przez nas omawiana i wyczekiwana, nie będzie zapewne uroczystością tylko zakątkową i partykularną: obejmie bez wątpienia kręgi tak obszerne, jak obszerny był kraj polski, niegdyś pod berłem Kazimierza Wielkiego zostający. Niemasz niwy



Widok kościoła w Kowalu.

w polskiej trzypolówce, którejby pług jego nie przeorał, jego znój nie użyznił i nie obsiał złotorodnym posiewem. Szermierz polskiego imienia, mecenas sprawiedliwości, mściciel tyranii, pogromca anarchii, patron ludu wiejskiego, krzewiciel oświaty, apostoł cywilizacyi—Kazimierz Wielki „król chłopków“, chyba zasłużył sobie, by pamięć o nim zapisana złotemi zgłoskami na kartach dziejów ojczystych i w księdze wdzięcznych serc, nie przebrzmiała głuchym echem i nie przeminęła tylko westchnieniem ponad głowami potomnych, zwłasz-

cza w tej znamiennej dobie, budzących się z uśpienia ideałów naszych, za które on wiódł krwawe zapasy.

Łan wielkopolski zawdzięcza mu księgę spisanych praw; Małopolska „Statut Wiślicki“,—obiedwie prowincye stłumienie szerzącej się w ich łonie anarchii, uprzywilejowanie stanu mieszczańskiego, monarsze nadania i t. d. Łan Mazowsza pod zwierzchność Korony przyłączył; Chrobacyę z jej stolicą Krakowem wysoko postawił, tak przez fundacyę akademii, jako i poparcie wszelkiego przemysłu, handlu, kultury. Krainy między Karpatami, Seretem i Polesiem geniuszem swym ożywił. Ruś Czerwoną wraz z jej stolicą Lwowem życzliwie i gorąco ukochał; obcych przybyszów, jak niemców, tatarów, saracenów, ormian, szlachetną tolerancyą do uczestnictwa w dobrodziejstwach wspólnej ojczyzny powołał. Nawet wzgardzeni powszechnie, wszechświatowi tułacze — żydzi, zawdzięczają mu rozszerzenie i na nich praw humanitarnych — istotnych podstaw obywatelstwa. Słowem, rodacy i obcoplemieńcy, katolicy, grecy, ormianie, żydzi i poganie,—możnowładcy, koloniści i kmiecie, panowie i lud — czyli cała Ojczyzna nasza i Kościół, wszystek naród na całym Polski średniowiecznej obszarze ma wiele do zawdzięczenia królowi Kazimierzowi Wielkiemu. Za zbyteczne przeto poczytujemy nawoływać Was, Rodacy, zapraszać lub zachęcać do uczestnictwa w modlitwie za duszę króla Kazimierza Wielkiego, odprawianej zwyczajem świętego Kościoła naszego.

Aniwersarz też śmierci króla Kazimierza, t. j. 5 listopada, uświęcimy w tym roku i obchodzić będziemy w latach następnych, aż do tejże daty 1910 r. żałobnem nabożeństwem w kościele parafialnym w Kowalu. A ponieważ napisano, iż *nad mocniejszym mocniejsza męka wisi* (Mądr. VI, 9), przeto z głębi duszy i serca wołajmy: *Panie, zbaw króla i wysłuchaj nas w dzień, w który Cię wzywać będziemy* (Ps. XIX, 10)!

W imieniu komitetu *Ks. Stanisław Jackowski*, proboszcz.

Kowal, w ziemi warszawskiej, dnia 1 listopada 1907 r.





Święcenie niedzieli dla dzieci. „Pan Bóg stworzył świat w sześć dni, a siódmego odpoczął” — uczy się uczeń na pamięć tego ustępu z katechizmu, w niedzielę na poniedziałek. „Dzień siódmy święcić nakazał Bóg człowiekowi”. Dziecku obija się o uszy, że zgodnie z tym przykazaniem, odpoczywa w niedzielę i piekarz, i sklepikarz, i rzeźnik i t. d. Dlaczego więc on jeden musi się uczyć i w niedzielę, kiedy się uczył przez sześć dni? — Pytanie to zadaje sobie niejeden zmęczony lekcjami uczeń i odpowiedzi na nie znaleźć nie może.

W czasach, kiedy tak żywo zajęto się skróceniem dnia roboczego i sprawą wypoczynku dla pracujących na wszystkich polach, a przestrzeganie nieprzeciążania pracą małoletnich, datuje się jeszcze dawniej, ten jeden „mały robotnik — uczeń” jest ze wszech miar upośledzony. Jego dzień roboczy, jeśli się „nie omyli w zadaniu”, albo jeśli mu nie wypadnie skracać ułamków do nieskończoności, wynosi dla średnio zdolnego ucznia, mniej więcej, 9 godzin.

W szkole siedzi od godziny 9-ej zrana do 3-ej po południu, następnie, przynajmniej trzy godziny odrabia lekcje, że nie wspomnę już o jakiejś dodatkowej godzinie muzyki, lub czegoś podobnego.

Po takiej całotygodniowej pracy, w niedzielę znów odrabia lekcye na poniedziałek.

Powinien je odrobić w sobotę, ale *primo*, leży to w charakterze niedorosłego człowieka, że mając następny dzień wolny od pójścia do szkoły, odkłada je sobie na niedzielę; następnie, nie zdążyłby nawet uporać się z niemi w sobotę bo pp. nauczyciele, mając na względzie niedzielę... zadają więcej, niż w powszedni dzień.

Tymczasem, dając uczniowi absolutny wypoczynek w niedzielę, nie stracimy nic — przeciwnie, zyskamy, bo taki wypoczynek pokrzepi go i zrobi go zdolniejszym do zrozumienia wykładu.

W szkołach zagranicznych, racjonalnie prowadzonych, dają, prócz niedzieli, jeden dzień w tygodniu rekreacji, bez szkody dla postępów w nauce.

Następnie, dzień poniedziałkowy możnaby użyć na repetycyę ogólną, ma się rozumieć bez stawiania z niej stopni, ażeby zapobiedz specyalnemu znów „obkuwaniu się“ zbyt gorliwych uczniów, i możnaby było co poniedziałek, brać inne przedmioty do powtarzania.

Byłoby to z wielkim pożytkiem dla uczniów i ułatwiałoby pracę nauczycielom; system ten wyrównywałby poniekąd różnicę zdolności między uczniami.

Z góry już odpierając zarzut, jaki mnie może ewentualnie spotkać, że ten jeden dzień w tygodniu, zabrany na powtarzanie, opóźniłby ukończenie roku szkolnego, albo wpłynąłby ujemnie na program, który musiałby być zmniejszony, powołać się mogę na szkoły, po mistrzowsku prowadzone dawniej przez jezuitów, którzy byli, trzeba im to przyznać, doskonałymi pedagogami.

W szkołach tych, gdzie jedną z zasad systemu było: „*Repetitio* mater studiorum“ (powtarzanie jest matką nauki), prócz tego, że każdy wykład polegał na tem, iż pół godziny powtarzano starą, a drugie pół godziny używano na objaśnianie nowej lekcyi, przeznaczano jeszcze jeden dzień całkowity na repetycyę.

Wyniki były doskonałe i bynajmniej system ten nie opóźniał roku szkolnego.

Zdaje się, że podając ten projekt, powinnam mieć za sobą, jeśli nie wszystkich, to w każdym razie sporą ilość tych rodziców, którym zarówno zdrowie, jak nauka dzieci jest droga.

Projekt nie nastręcza żadnych trudności do wykonania, byłoby więc niesłusznem zwlekać z nim i pożądane byłoby, iż jeśli kierownicy szkół, uznają go za racjonalny, a nie przypuszczam, żeby było inaczej, nie został on w sferze marzeń, jak wiele t. p. projektów, np. zmniejszenie ilości podręczników i t. d.

W tym celu pp. przełożeni i przełożone szkół powinni niezwłocznie zwołać zebrania rodzicielskie, na których liczba podpisów „za i przeciw” mogłaby zadecydować o sprawie.

Towarzystwo dobroczynności w Kamieńcu Podolskim otworzyło herbaciarnię polską, która bywa przepełniona ubogimi rzemieślnikami. Goście otrzymują w herbaciarni za 2 grosze kubek doskonałej herbaty, mogąc w ciepłym, suchym i bardzo czystym lokalu odpocząć, porozmawiać i przeczytać gazety polskie.

Rozrywki robotników. Gdy pisma łódzkie stwierdzają znaczny rozwój pijaństwa w Łodzi, należy, ze względu na sprawiedliwość, podnieść i dodatnie strony życia tamtejszych robotników.

A właśnie w ostatnim „Kuryerze Łódzkim“ p. Dobrosław opisuje taką zabawę robotników łódzkich:

Zastałem w dość obszernym pokoju, około 40 osób przy posiłku. Zajadali pieczone mięso, poczem ukazała się herbata. Gdy szklanki zostały opróżnione, stoły usunięto, z sąsiedniego pokoiku rozległa się muzyka. Przygrywało pięciu amatorów, jak się dowiedziałem, z pośród robotników. Zaczęły się tańce, bawiono się ochoczo, pomimo, że nie było ani wódki, ani piwa; pragnienie gaszono herbatą lub wodą. Po dwóch godzinach tańców, ukazały się skromne przekąski i znów herbata, a potem bawiono się blizko dwie godziny w różne gry zbiorowe. Śmiech, pełna humoru rozmowa napełniały bawialnię. Kobiety były w siódmem niebie, a mężczyźni pełni szczęścia. Za fanty deklamowano, śpiewano, tańczono, różne figle wyprawiano. Zaczęło się o 5-ej po południu, a skończyło około 10-ej. Wszyscy opuszczali miejsce zabawy rozpromienieni, oczywiście nie wódką, bo jej na lekarstwo nie było, ale zabawą.

I grono to robotnicze bawi się tak parę razy na miesiąc, składając się po dwa złote od osoby.

W innem zaś gronie robotniczem, gdzie mnie zaproszono, nie było zabawy tanecznej, lecz czas przepędzano, jak następuje: jeden z uczestników odczytał rzecz o hygienie mieszkań, poczem wywiązała się dyskusya, następnie drugi uczestnik pokazał zbiór owadów, wszystko to trwało blizko dwie godziny, podczas czego wypito herbatę i zajadano bułeczki z kiełbasą; narozmawiano się o różnych sprawach i kilkanaście osób spędziło czas bardzo miło, kosztem 20 groszy każda.

Tworząc takie kółka towarzyskie, robotnicy umilają sobie czas wolny od zajęć, z pożytkiem dla siebie wielkim.

Z Kiszyniowa. W tych dniach otwarto w Kiszyniowie „Salę polską im. Mickiewicza“, mogącą pomieścić przeszło 400 osób. Sala mieści się w oddzielnym, „ad hoc“ wybudowanym gmachu, wspólnie ze szkółką i biblioteką polską, w bliskiem sąsiedztwie kościoła katolickiego.

Poświęcenia gmachu dopełnił ks. Stange, miejscowy proboszcz, który, chociaż niemiec, wygłosił mowę po polsku, zachęcając Polaków, ażeby „przechowywali tradycyę narodu sławnego, który przez kilka wieków szedł na czele słowiańszczyzny...“ Uroczystość otwarcia sali polskiej ograniczyła się mowami, które wygłosili: prezes kiszyniowskiego Towarzystwa dobroczynności dr. Zurakowski, sekre-

tarz p. Józef Zalewski, prezes odeskiego Tow. dobroczynności mecenas Aloizy Dłuski, oraz redaktor odeskich „Nowin Polskich“, p. Jan Mioduszewski. Na szczególną uwagę zasługuje przemówienie pełnego zasług mecenasa Dłuskiego, który powiedział: „Wyście najdoskonalej cel osiągnęli—miłość bliźniego z miłością rodaka łącząc—nie jałmużnę kopiejkową, lecz szkołę i bibliotekę uważając za rzecz najpotrzebniejszą”.

Wieczorem w „sali polskiej“ odbył się koncert i zabawa taneczna. Śpiewali artyści opery odeskiej, p. Turzański i p. Helena Tracewska, czarując pieśniami polskiemi. Na zabawę wieczorną przybył tłum publiczności polskiej. Obecni byli także cudzoziemcy, Rosyanie, Ormianie i Rumuni. Odeskie „Nowiny Polskie“ poświęciły pięknej uroczystości w Kiszyniowie oddzielny dodatek.

Na konsystorzu Papieskim, Ojciec św. rozda kilka kapeluszów kardynalskich. Jednym z pierwszych kandydatów jest monsignor Gaspari, b. profesor Instytutu katolickiego w Paryżu i od wielu lat kierownik jednej z sekcyi w sekretaryacie stanu (ministeryum spraw zagranicznych) Kuryi. Dalej mają otrzymać kapelusze prałaci: mons. Giustini i mons. de Lai. Mianowanie tych kandydatów, według opinii kół, zbliżonych do Watykanu, zwiastować będzie zupełne zwycięztwo polityki sekretarza stanu Kuryi, kardynała Merry de Val.

Nowy nuncyusz w Bawaryi. Pius X-ty mianował nowego nuncyusza w Bawaryi, który zarazem jest nuncyuszem na całe Niemcy, w osobie ks. Frühwirtha, rodem z Austryi, z zakonu ks. dominikanów. Zdziwi to może nie jednego, iż na posadę nuncyusza nie mianowano włocha, jak dotychczas bywało, ale Pius X-ty chciał zadowolić katolików niemieckich, którzy domagali się rodaka. Obecnie ks. Frühwirth zdejmie suknię zakonną i otrzyma tytuł arcybiskupa „in partibus infidelium“. Urodził się w Styryi w roku 1845.

Jubileusz. W d. 28-ym października obchodził w Rzymie przybyły z Cejlonu delegat apostolski, ks. arcybiskup Władysław Zaleski, jubileusz 25-letni kapłaństwa i przyjmował życzenia w kolegium polskiem.

Gwałty Prusaków. W pismach górnośląskich czytamy: Małżonkom Karolowi i Julii Grabarom z Świętochlowic na Górnym Śląsku, wytoczono proces o wspólne stawianie oporu władzy państwowej.

Rozprawy toczyły się przed sądem w Król. Hucie. Jako świadek występował sierżant policyjny Szczendzina. Dnia 9 lipca r. b. polecono temu urzędnikowi, aby sprowadził do szkoły 13-letniego synka oskarżonych. Było to rano o godzinie 7 i pół, kiedy urzędnik policyjny stawił się w mieszkaniu. Chłopiec nie zjadł jeszcze śniadania, więc matka prosiła urzędnika, aby mu pozostawił do tego

jeszcze nieco czasu. Lecz urzędnik doskoczył do chłopca i począł mu wymierzać tak silne policzki, że chłopiec przewrócił się na łóżko. Następnie pochwycił wątłego chłopca, rzucił go na ziemię, ukląkł na nim, począł okładać pięściami, założył mu łańcuszki na ręce i wywlókł go jakby jakiego zbrodniarza. Na żądanie rodziców, aby dziecka tak bardzo nie katował, urzędnik jeszcze mocniej łańcuszki przycisnął, tak, że chłopiec z głośnym krzykiem upadł na kolana. Sam sąd nie chciał wierzyć zeznaniom, zarówno oskarżonych jak i świadków, lecz w końcu przyszedł do przekonania, że wszystko odpowiada rzeczywistości, tym więcej, że nawet sierżant policyjny Szczendzina sam to potwierdził.

Nie widziałem — mówił — innej rady, bo chłopczyk opierał mi się zbyt silnie. Przewodniczący zwrócił mu uwagę, że przecież nie zachodziła wcale potrzeba użycia łańcuszka na poskromienie słabego dziecka. Policyant Szczendzina odpowiada, że miał nawet ochotę użyć broni.

Przewodniczący był bardzo zdziwiony poglądami urzędnika. Ponieważ jeszcze więcej świadków zostało podanych, więc sąd uchwalił, aby sprawę w interesie policyi świętochlowickiej odłożyć.

Koniec strajku szkolnego. Pisma niemieckie podają z widocznem zadowoleniem wiadomość, że strajk szkolny w W. Ks. Poznańskiem wygasł w tych dniach zupełnie. Czworo dzieci w mieście Kościanie, które pomimo ciężkich kar i zaniechania oporu przez swoich towarzyszów, wzbraniały się dotąd odpowiadać na pytania niemieckie w nauce religii i brać udział w odmawianiu pacierza niemieckiego, przed kilku dniami zgodziło się za namową rodziców na niemiecką naukę religii. Wiadomość o ustaniu strajku w Kościanie jest prawdziwą, ale bohaterski opór rodziców i dzieci przeciw narzuconej bezprawnie niemieckiej nauce religii trwa w niektórych okolicach jeszcze, pomimo dotkliwych kar i widocznej już bezowocności ponoszonych ofiar. Tak donosi między innemi „Gazeta Grudziądzka", że w Wielkim Krosinie, w pow. obornickim, dzieci i dziś jeszcze nie odpowiadają na niemieckie pytania w nauce religii. Rodziców skazano administracyjnie na kary po 30 a nawet po 90 marek, lecz nikt nie zapłacił. Nadeszło 5 żandarmów, którzy mieli kary ściągać, lecz rodzice oświadczyli, że za przykładem księży wolą pójść do więzienia, a kar nie zapłacą.

Lekarze a alkohol. Coraz liczniej odzywają się głosy lekarzy, stwierdzające niebezpieczeństwo ze względu na hygienę społeczną, zalecania chorym napojów alkoholowych. Idzie nie o to, co z naciskiem zaznaczyć należy, żeby się lekarze mieli w zasadzie cofać przed spożytkowywaniem w celach leczniczych działalności alkoholu

czystego, pragną jedynie wystąpić przeciwko owemu prądowi społecznemu, jakoby wino, piwo i t. p. miały być środkami pożytecznemi i wzmacniającemi. W sposób szczególnie stanowczy wystąpiła w tym kierunku, pewna liczba lekarzy w Dornbirn (Voralberg). Rozesłali mianowicie w dn. 7-ym stycznia r. b. okólnik następujący: „Do Kasy chorych w N. N. Ostatnie badania naukowe wykazały, że stosowanie alkoholu w medycynie, nie jest niezbędne w przypadkach, w których alkohol bywał dotychczas stosowany, gdyż medycyna posiada środki pewniejsze w działaniu i znacznie tańsze, nadto zaś nie dające pola do nadużyć. Jakoż niżej podpisani zaprzestają nadal zapisywać wino, koniak i wódkę, oraz upraszają wszystkich lekarzy, mających związek z Kasami chorych, aby się porozumieli wspólnie, w celu jednolitego działania". (Tu następuje szereg podpisów lekarzy). Wskutek rzeczonego okólnika wszystkie Kasy chorych w Dornbrin zakomunikowały swoim lekarzom, że za zapisywane chorym napoje alkoholiczne płacić nadal nie będą.

Cholera. Przygnębiające wrażenie wywołał w Kijowie fakt śmierci 16-ga dzieci z ochronki na cholerę. Warunki zdrowotne w ochronce ziemskiej podobno zawsze nieszczególne, w ostatnich czasach stały się niemożliwe. Ostatnio w ochronce znajdowało się 45 niemowląt, które karmiło zaledwie 13 mamek. Przed kilku dniami do ochronki dostawiono dwoje dzieci, chorych jakoby na biegunkę. W dwa dni zachorowała na cholerę jedna z mamek i w parę godzin później — 12-ro dzieci, które wszystkie w nocy umarły. Nazajutrz zachorowało znów 26 dzieci, które odwieziono do szpitala. Z tej liczby troje już umarło. Wogóle od początku epidemii w Kijowie do dn. 1-go b. m., t. j. w ciągu 29 dni zachorowało 1,049 osób, zmarło 278, wyzdrowiało 540.

Straszliwe cyfry. Do domów dla obłąkanych stosunkowo najwięcej dostaje się ludzi, używających trunki. Wykazały to badania urzędowe, przeprowadzone w różnych krajach. W przeciągu ostatnich trzech lat w szpitalach waryatów, na całym świecie leczono 26,354 osób chorych na obłęd wskutek pijaństwa, z tych 4,545 osób odesłano do przytułków, jako nieuleczalnych. W tymże czasie w samych tylko Prusach na obłęd pijacki umarło 3.576 mężczyzn i 394 kobiety. W domu dla obłąkanych w Wiedniu, 25 procent pacyentów stanowią pijacy. W Stanach Zjednoczonych trzecia część waryatów dostała obłędu, skutkiem pijaństwa. W Dublinie, w Irlandyi, stwierdzono, że pijaństwo jest przyczyną obłędu 50 procent wypadków. W Berlinie, co trzeci obłąkany był nałogowym pijakiem; toż samo stwierdzono na Śląsku i w Nadrenii.

Odważni pasażerowie. O napadzie bandytów na szosie między Jędrzejowem a Włoszczową, donoszą do „Gaz. Kiel” następujące szczegóły: Podczas powrotu z jarmarku operowało 7 bandytów, którzy unieruchomili 40 wozów z 80 pasażerami! Jeden z podróżnych miał na wozie strzelbę myśliwską, którą jednak ukrył głęboko pod słomą, w obawie, aby mu jej nie odebrano. Tymczasem okazało się, że można byłoby doskonale bronić się tą strzelbą, gdyż bandyci mieli zaledwie jeden rewolwer, broń tę trzymał jeden z nich w ręku, a pozostali trzymali różne przedmioty blaszane, mające reprezentować rewolwery, jeden np. trzymał kran od beczki. Trzech bandytów stanęło u pierwszego wozu, trzech innych u ostatniego, siódmy zaś chodził od wozu do wozu, niby konduktor tramwajowy i pobierał opłatę w sposób nader uprzejmy. Wystraszeni kupcy dali się ogołocić z grosza, było takich 50, pozostali, sprytniejsi, wymawiali się brakiem gotówki. Jak w operetce! Dotąd zdołano ująć 5 bandytów. Ileż napadów dzięki takiej odwadze napadniętych, udaje się zuchwałym hultajom!

Trzęsienie ziemi. Trzęsienie ziemi w Taszkencie doszczętnie zniszczyło miasto Karatogoi i cała ludność, 15,000 mieszkańców, została pogrzebaną pod jego gruzami. Miasto Karatogoi leży w rosyjskiej, środkowo-azyatyckiej prowincyi Sir-Daria, w pobliżu tak zw. Głodowych stepów. Okolica dość często bywa nawiedzana przez trzęsienia ziemi, z których większe wydarzyły się w latach 1866 i 1868. Obecnie, równocześnie prawie z trzęsieniem ziemi w Kalabryi poczęły nadchodzić wiadomości o ruchach powierzchni skorupy ziemskiej, w rosyjskiej Azyi środkowej. Następstwem ich było wstrząśnienie większe, które spowodowało tę straszną katastrofę.



Nowiny polityczne.

Wybory. Po nabożeństwie, odprawionem w kościele pp. Wizytek w Warszawie, odbyły się w gmachu Towarzystwa kredytowego ziemskiego wybory posła z gub. warszawskiej.

Ze 103 wyborców, uprawnionych do głosowania, przybyło 95-iu. Po zagajeniu zebrania, trzej wyborcy z kurji robotniczej, opuścili salę, przyczem jeden z nich złożył oświadczenie, że nie chcą głosować na posła do Dumy, która dotąd nie zajmowała się wcale kwestją robotniczą.

Zaproponowanej kandydatury ks. Gralewskiego na posła, przewodniczący nie poddał pod głosowanie, ponieważ ks. Gralewski, zesłany zagranicę, jako nieobecny nie oznajmił, czy zgadza się na przyjęcie kandydatury.

Balotowano więc jednego kandydata p. Władysława Grabskiego, b. posła do I i II Dumy, który też wybrany został 88 głosami na 92 głosujących.

*

* *

Wczoraj również odbyły się we wszystkich miastach gubernjalnych Królestwa Polskiego wybory posłów do Dumy z gubernji, z następującym wynikiem:

Wybrano na posłów:

z gub. kieleckiej—p. Wiktora Jarońskiego, b. posła, 45-ma głosami. Kontr-kandydat, mecenas Stefan Godlewski, realista, otrzymał 18 głosów;

z gub. lubelskiej—p. Józefa Nakoniecznego, 81-ma głosami na 95 głosujących;

z gub. siedleckiej—p. Lubomira Dymszę, obywatela ziemskiego, profesora uniwersytetu petersburskiego;

z gub. łomżyńskiej—d-ra Jana Harusewicza, b. posła;

z gub. płockiej—p. Hipolita Wąsowicza z Jasienia;
z gub. radomskiej—d-ra Józefa Świeżyńskiego, b. posła;
z gub. piotrkowskiej—p. Władysława Żukowskiego, b. posła;
z gub. kaliskiej—mecenasa Alfonsa Parczewskiego b. posła;
z gub. suwalskiej—p. Andrzeja Bułata 26-ma głosami litewskiemi.

*

* *

W warszawskim magistracie odbyły się wybory posła od ludności rosyjskiej z Warszawy. Przybyli wszyscy wyborcy w liczbie 20. Wybrano 19-ma głosami p. Sergjusza Aleksiejewa, nauczyciela 4-go gimnazjum męskiego.

Niemiec o Niemcach. W katolickiej „Schlesische Volkszeitung" opowiada jeden z czytelników niemieckich tego dziennika zdarzenie następujące:

„W Oberning wsiadłem do przedziału drugiej klasy i zastałem tam trzech polskich księży. Po wzajemnem przedstawieniu się, rozmawialiśmy po niemiecku. We Wrocławiu wysiadłem na chwilę; po powrocie zaś zauważyłem, że moi polscy towarzysze podróży bardzo są wzburzeni. Powodem tego było zachowanie się ulicznikowskie jakiegoś niemca, który w mojej nieobecności wsiadł do przedziału naszego. Oto księża polscy rozmawiali po polsku, a ów niemiec w sposób ordynarny oświadczył, że w swojej obecności zabrania rozmawiać w języku polskim.

Zdziwienie moje nie miało granic. Objechałem znaczną część świata i słyszałem w przedziałach II klasy dźwięki najrozmaitszych języków, ale żadnemu podróżnemu nawet przez myśl nie przeszło to, na co sobie pozwolił ten „przyzwoicie" ubrany obywatel pruski.

Zwróciłem się tedy do tego wyjątkowego ziomka praniemieckiego z uwagą, że podobne zajście jest czemś niesłychanem na ziemi niemieckiej, gdzie kultura stoi tak wysoko. A kiedy mu tłumaczyłem, że takie zachowanie się nie jest liberalnem, wskazał mi „Schlesische Ztng.", którą właśnie czytał, i oświadczył, że nie jest liberałem, lecz konserwatystą. Chciałem mu dalej tłumaczyć dzikość jego postępku, ale w grubijański sposób przerwał rozmowę.

Polskich towarzyszy przeprosiłem za tę przykrość, jaka ich spotkała ze strony „kulturalnego" nadniemca.

Ordynarny ten człowiek wysiadł w Oławie,—a jak wnioskować mogłem z uszanowania, jakiem go otaczali urzędnicy kolejowi, zaliczał się do wybitnych tamtejszych dostojników".

Zdarzenie to — kończy „Schles. Volks Ztng.“ — jest wymowne i świadczy o skutkach niemoralnych, kultury hakatystycznej“.

My ze swej strony tyle tylko dodać możemy, że takie objawy zdziczenia duszy niemieckiej mnożą się z dniem każdym i dziś są niemal już na porządku dziennym. Właśnie w obecnej porze, gdy mnóstwo publiczności powraca z wywczasów letnich do domu, i styka się za granicą w wagonach kolejowych z niemcami, niejednokrotnie o uszy polaków obija się okrzyk: „Verfluchte Pollacken“, albo „polnisches Geschwätz“. Dziś właśnie otrzymujemy od jednej z ziemianek naszych wiadomość, że gdy niedaleko Bydgoszczy do przedziału dla niepalących weszło dwóch niemców z cygarami, a ona w uprzejmy sposób łamaną niemczyzną zwróciła im uwagę, że nie znosi dymu od cygar, panowie „kulturtregerzy“ opuścili wprawdzie przedział, ale na odchodnem jeden z nich mruknął dość głośno: „Was, Polaków, trzebaby zamykać w wagonach dla bydła“.

Skutki rozpasanej agitacyi hakatystycznej. W zaborze pruskim, mnożą się przypadki brutalnych napaści Niemców na Polaków. Świeżo czytamy w „Gazecie Olsztyńskiej”: Do czego doprowadziła polityka hakatystyczna podszczuwania Niemców na Polaków, tego dowodem okropny wypadek, który się zdarzył w Martyanach. Przy wydobywaniu żwiru pracowali robotnicy polscy razem z niemieckiemi. W niedzielę wieczorem pokłócili się jedni z drugimi, pokłóli się nożami i kto wie, do czego byłoby w końcu doszło, gdyby ich żandarm nie był rozdzielił. Robotnicy polscy udali się na spoczynek. Nagle około godz. 12 i pół w nocy, rozległ się okrzyk: „Ogień!” Oto barak, w którym spali robotnicy polscy, podpalono. Zanim robotnicy zdołali przyjść do siebie z przerażenia, już belki zaczęły trzeszczeć im nad głowami. Część robotników ocalała, uchodząc na pół nago. Reszta, 6 czy 8, spaliła się na węgiel. Kilku innych poparzyło się tak okropnie, że prawdopodobnie żyć nie będą. Śledztwo jest w toku. Do gazet niemieckich piszą, że pożar wzniecili z zemsty, miejscowi robotnicy niemieccy.

Złośliwy dyplomata. Mianowany świeżo posłem chińskim w Waszyngtonie Wu-Ting-Gang raz już przebywał w Ameryce, jako attaché ambasady. W owym czasie na jakimś obiedzie w Białym Domu goście prosili go, aby im co wpisał po chińsku na karcie, zawierającej spis potraw. Nakreślił każdemu kilka znaków pędzelkiem. Żadnemu ze współbiesiadników nie przyszło na myśl, że złośliwy obywatel państwa niebieskiego może z nich zadrwić. Jednemu np. wypisał: „Masz czerwony nos alkoholika”, drugiemu: „Zabawny z pana błazen”, trzeciemu: „Niepodobna już być nudniejszym”. W ten

sposób scharakteryzował wszystkich. Amerykanie, nie rozumiejąc mowy Konfucyusza, byli radzi z pamiątki. Jeden z nich w kilka miesięcy potem, pokazał aforyzm chiński dragomanowi poselstwa i wtedy wyszły na jaw — drwiny. Gdyby attaché był pod ręką, nie uszłoby mu to na sucho, lecz wrócił już był do kraju. Teraz przybywa jako ambasador.



ODPOWIEDZI.

W-ny M. Kowalski w Ratnie. Przekazane Rub. 2—otrzymaliśmy. Za wyrazy uznania i przychylności, przesyłamy serdeczne „Bóg zapłać!“

W-ny Józ. Nietyksa w Humaniu. Nadesłane łaskawie Rub. 3 kop. 20, otrzymaliśmy, za które dziękujemy.

W-na M. L. w War. Z nadesłanego rękopisu korzystać nie możemy.

W-ny ks. Kow. w Ni. Z największą chęcią zastosujemy się do życzenia Ks. Dobrodzieja. Ks. Redaktor stale mieszka w Częstochowie, a tylko od czasu do czasu wyjeżdża w sprawach naszego pisma. Za życzenia serdecznie dziękujemy. Największem naszem usiłowaniem jest, pomimo przeróżnych trudności, udoskonalać „Dzwonek Częstochowski“, co nam ułatwi uznanie i życzliwość czytelników i przyjaciół tego pisma.



Rozrywka i zabawa.

ŻARTY.

Dwa woły.

Gdy Bartek miał nauczycielowi oddać należące mu się żyto za naukę dzieci, a nie miał go nawet tyle, żeby do Wielkiejnocy na chleb mu wystarczyć mogło, prosił nauczyciela, aby mu czekał do drugiego roku. „Bo to pan nauczyciel nie uwierzy", rzekł, co ja to biedy użyłem przeszłej jesieni z mojemi wołami. Wcale mi w pługu chodzić nie chciały. Biłem i biłem kozicą, aż mi się ręka namogła, ale i to nie pomogło. Źle mi się zorało, i spóźniłem się z siewem. Mało co powschodziło; a co zeszło to prawie mróz zjadł. Mój gospodarzu, odpowiedział nauczyciel, przychylając się do jego prośby, „nie woły to wasze temu winny, że nie macie chleba. Dla waszej nauki, poczekajcie tylko, przeczytam wam bajkę, której i wasz Stach już się w szkole na pamięć nauczył":

Spojrzawszy na swój zagon szkaradnie zorany,
Katował biedne woły Bartek rozgniewany.
„I co my temu winne?" tak mu jeden rzecze;
Nacoś nas bił i szarpał okrutny człowiecze!
Gdybyś zręczniej kierować umiał wołki twemi
„I zagon byłby lepszy, i my mniej bitemi"!

— A no—bąkał sobie pod nosem Bartek — odchodząc, —jużcito prawda, aleć przecie woły gadać nie umieją!

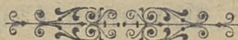
Przyszedłszy do domu, kazał sobie Stachowi bajkę o wołach powtórzyć parę razy, a zawsze gadał: „ba, jużcić i prawda, ale przecież woły gadać nie umieją"!

Wet za wet.

Pewien chłop miał zapłacić swemu adwokatowi za prowadzenie sprawy. Gdy mu adwokat pokazał dość grubą pakę aktów sądowych, chłop rzekł z westchnieniem: „Panie, toć tu bardzo rozwlekle pisane—a nie mogłoby to być cokolwiek ściślej?”—„Tego wy, miły człowieku, nie rozumiecie,—odpowiedział adwokat, „to jest właśnie urzędowne pismo. Jeżeli zaś nie macie pieniędzy, możecie mi za to zaorać kilka morgów roli”. Chłop orał, ale skiby na dwie stopy od siebie.

— „Hèj! hej!”—zawołał — widząc to adwokat: „toć to jest nad podziw szeroko zorane”.

— Na tem się pan nie zna,—była jego odpowiedź — to właśnie urzędowna orka.



Od Redakcyi.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego“ upraszamy, o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma, wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego, podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski“.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną Górą.



OFIARY.

Na Kościół w Baku.

St. Eiliń. w Smol. Rub. 2.



Prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego“ mogą nabywać po cenach zniżonych niżej wymienione dzieła:

Obrazy historyczne w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze – broszurowane 50 kop., w ozdobnej oprawie 1 rb. (za przesyłkę dopłaca się 20 kop).

Wizerunki Dostojników duchownych w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze—50 kop. (za przesyłkę osobno 17 kop).

Książka do nabożeństwa, zawierająca piękne dawne modlitwy, które nasi dziadowie i pradziadowie odmawiali—w oprawie ozdobnej w płótno z białymi brzegami 45 kop., ze złoconymi brzegami 50 kop., w oprawie ozdobnej w skórkę ze złoconymi brzegami 75 kop., w oprawie wytwornej, fantazyjnej 1 rb. 50 kop. (za przesyłkę tej książki dopłaca się 30 kop).

Z życia Adama Mickiewicza – popularny życiorys wieszcza, przez Stefana Gębarskiego, z portretem i w oprawie 80 kop. (z przesyłką pocztową).

W Administracyi „Dzwonka Częstochowskiego“ są do nabycia nadto:

Karty pocztowe kolorowane z widokami Jasnej-Góry—sztuka 5 kop., serya z 12 kart 50 kop., z przesyłką 70 kop. Album z 12 kart w okładce tekturowej 55 kop., z przesyłką 70 kop.

Przewodnik illustrowany po Jasnej-Górze w Częstochowie.—Część I z planem Jasnej-Góry, str. 134, illustracyj 60, 30 kop. na lepszym papierze 40 kop. Część II. **Skarbiec Jasnogórski**, 50 illustracyj, 25 kop., na lepszym papierze 30 kop. (Za przesyłkę jednej części dopłaca się 15 kop). Obydwie części z przesyłką 80 kop., na lepszym papierze 95 kop.

Święta Barbara—książka do nabożeństwa dla górników, w oprawie płóciennej 50 kop., w oprawie skórkowej 70 kop. (za przesyłkę 20 kop).

Dobry katolik - katechizm Rzymsko-katolicki, wraz z Historyą Swiętą, radami dla parafian i elementarzem, na którym tak dziecko, jak i dorosły może w krótkim czasie i z łatwością nauczyć się czytać, z illustracyami 12 kop., z przesyłką 16 kop..

Dwór Niebieski, czyli modlitwa Ś-tej Luitgardy--8 kop., z przesyłką 10 kop.

Ks. Augustyn Kordecki - życiorys wiekopomnego obrońcy Jasnej-Góry od Szwedów, z przesyłką 5 kop.

Obraz kolorowy, przedstawiający ołtarz z cudownym obrazem Matki Boskiej w kaplicy Jasnogórskiej 24×18 cali, cena 40 kop.

Portret Ks. Augustyna Kordeckiego 30×22 cali, cena 30 kop.

Widok Jasnej-Góry w kolorach 28×29½ cali, cena 40 kop.

Na przesyłkę wraz z opakowaniem jednego lub trzech obrazów dopłaca się 40 kop.



Przy zamawianiu kilku książeczek naraz, dopłaca się za przesyłkę po 20 k. do każdego rubla lub części rubla.



Redaktor i Właściciel **ks. JÓZEF ADAMCZYK.**

Druk J. Sikorskiego, Warszawa, Warecka 14.